PO 1668 IV

BIBLIOTEKA INSTYTUTU MORSKIEGO W GDAŃSKU

Cena 1 zł

DZIŚ i JUTRO

PAX

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok XI. Warszawa, 13 marca 1955 r. Nr 10 (484)

Biblioteka Uniwersytecka

STEFAN LICHAŃSKI

WIECZNIE KOBIECE

Das Ewig-Weibliche
Zieht uns hinan.
J. W. GOETHE

OPOWIADANIA Gertrudy von Le Fort zebrane w tomie „Córka Farinaty"*) należą chronologicznie do naszej epoki, ale zarówno zastosowana w nich technika roboty artystycznej, jak i metody stawiania i rozwiązywania zagadnień świadczą o bardzo bliskim związku tej książki z tradycjami niemieckiej moderny. Nic w tym zresztą dziwnego. Gertruda von Le Fort urodziła się w roku 1876, należy więc do tej samej generacji pisarskiej, co Hofmannsthal, Rilke, Monbert. Chorobliwie niemal wydelikacona subtelność tej prozy, grającej przeważnie półtonami nastrojów, delikatnymi, zawoalowanymi aluzjami i napomknięciami, dobywającej z faktów przede wszystkim ich emocjonalny koloryt i teatralizowaną po trochu na modłę Maeterlincka symboliczność, przypomina raczej świt naszego stulecia niż jego południe. Jak wszyscy moderniści Gertruda von Le Fort kocha się w stylizatorskim werbalizmie, w dystyngowanej, wypieszczonej muzyczności zdań płynących meandrami zawiłej cokolwiek, bo niby od niechcenia, a przecież bardzo świadomie poetyzowanej frazy.

Rozpocząwszy działalność pisarską około 1900 r. Gertruda von Le Fort zamilkła następnie na przeszło 20 lat. Pozostała jednak mimo wieloletniego milczenia wierna nie tylko modernistycznym koncepcjom artyzmu, ale również typowo modernistycznej skłonności do podejmowania problematyki „wiecznościowej", o kosmicznych zgoła perspektywach. Problematyki tego rodzaju nie da się ująć wprost, wypowiedzieć przez realistyczny opis codziennej rzeczywistości. Koniecznością staje się w tym wypadku przedstawienie pośrednie, osiągane przez symbolistyczne traktowanie zdarzeń i postaci. To, co autor przedstawia bezpośrednio, jest jakby teatrem chińskich cieni, znakiem lub aluzją. Istotny sens faktów zostaje tymi aluzjami tylko zasugerowany, poddany nam do odgadnięcia. Nawet ujęta w zwięzły, aforystyczny skrót maksyma, z którą autor zwraca się wprost do czytelnika jako konkluzją wysnutą z przedstawionych w dziele faktów jest znów jedną z formuł owej swoistej symbolistycznej algebry poetyckiej, której istotę stanowi opalizacja znaczeń, możliwość wielu równouprawnionych interpretacji.

Historyczność opowiadań Gertrudy von Le Fort jest tylko zewnętrzną dekoracją, akcja ich toczy się w gruncie rzeczy poza czasem i przestrzenią. Zupełnie tak, jak mówi Staff o swoim „Skarbie": „Czas i miejsce wypadków obojętne. Może „nigdy i nigdzie", może w nas i co dzień". Sceneria historyczna jest u von Le Fort tylko wielką metaforą mającą podkreślić wieczną aktualność problematyki jej utworów.

„Córka Farinaty" jest próbą artystycznego rozwinięcia teorii „wiecznej kobiecości" pojmowanej jako zasada porządku i pokoju, ocalająca świat przed szaleństwami męskiej, arcymęskiej „woli mocy", która karykaturalnie groteskowe swoje wypełnienie znalazła w hitlerowskiej odmianie faszyzmu. Można by w tym wypadku uprościć sobie sprawę i powiedzieć, że samo przeniesienie punktu ciężkości zagadnienia z dziedziny spraw społecznych, polityki i ekonomii w sferę metafizyki jest typowo inteligencką ucieczką w krainę mitologii.

Zachłannemu męskiemu drapieżnikowi, pragnącemu cały świat przemienić w cokół posągu własnego „ja" przeciwstawia autorka kobiecą „wolę słabości", wolę ofiary, zapomnienia o sobie, poświęcenia siebie dla innych. Nie sądzę, aby ta „wola słabości" mogła okazać się skutecznym orężem w rozgrywce z faszyzmem. Nawracanie faszystów przy pomocy dobroci, miłosierdzia i poświęcania się za nich byłoby moralną kapitulacją wobec terroru i zbrodni. Trzeba się pogodzić z faktem, że istnieją czyny wyłączające ich sprawców ze wspólnoty ludzkiej, istnieje zło, wobec którego każdy odruch litości byłby zbrodnią, zło, które musi być wypalone rozżarzonym żelazem.

*) Gertruda von Le Fort: Córka Farinaty. Wydawnictwo „Pax", Warszawa, 1954, s. 183.

W perspektywie procesów historycznych „wola słabości" musi być traktowana jako niebezpieczne igranie z ogniem. Nieco inaczej jednak przedstawia się ta sprawa w wymiarze bardziej kameralnym: w sferze kontaktów między poszczególnymi jednostkami oraz w dziedzinie moralności indywidualnej. Chodzi mi tu o dwa zjawiska: 1) o przecenianie ważności własnego „ja", 2) o identyfikowanie szczęścia osobistego z tym, co określa się potocznie jako sukces życiowy („Sukces bożkiem jest dziś" — stwierdzał już Norwid). Który z tych błędów uznamy za podstawowy, a który za jego następstwo, jest w gruncie rzeczy sprawą zupełnie obojętną. Fałszywy pogląd na rolę i ważność własnego „ja" implikuje fałszywą teorię szczęścia i — *vice versa* — fałszywa teoria szczęścia uniemożliwia nam prawidłowe traktowanie siebie samych. Jest to zamknięte koło błędu, z którego można się wyzwolić jedynie praktycznie zobowiązującą decyzją, a nie teoretycznym roztrząsaniem. I sądzę, że w podjęciu takiej decyzji Gertruda von Le Fort może nam okazać pewną pomoc.

Jaką i na czym polegającą pomoc? Aby odpowiedzieć na to pytanie, wezmę na warsztat opowiadanie „Plus ultra". Czy uważam je za lepsze od innych? Nie, bynajmniej, ma ono jednak tę zaletę, że kwestia „woli słabości" zostaje w nim zademonstrowana na przykładzie konfliktu miłosnego. Rzadko kto z nas miał w ręku życie dziecka swego wroga, jak Anna de Vitré z „Sądu morza", rzadko kto musiał się żenić lub wychodzić za mąż dla dobra ojczyzny, jak Bice z „Córki Farinaty", rzadko kto wreszcie mógł asystować przy ostatnich chwilach zbankrutowanego dyktatora, jak bohaterowie „Consolaty", ale chyba każdy kochał się przynajmniej raz w życiu i dlatego będzie mógł we własnych doświadczeniach znaleźć choćby jakieś bardzo odległe analogie do przeżyć pięknej Arabelli i cesarza Karola. Na tych zaś analogiach zależy mi bardzo, gdyż muszę odwoływać się do nich podejmując próbę rewizji powszechnie przyjętej teorii szczęścia.

Zasadniczym wątkiem fabularnym opowiadania „Plus ultra" jest bardzo smętna i romantyczna historia miłosna. Spotkali się, popatrzyli sobie w oczy — i zakochali się na śmierć. Zupełnie jak w piosence. I dalszy ciąg jak w piosence: „Ty pójdziesz górą, ty pójdziesz górą, a ja doliną", z tą tylko różnicą, że górą poszedł on (awansował na cesarza), a doliną ona (została mniszką w cichym klasztorze). Historia — jak powiedziałyby czytelniczki Mniszkówny — „bardzo życiowa i taka do płaczu".

Lektura opowiadania przekonuje nas jednak, że autorce wcale nie chodziło o wyciskanie łez z czyichkolwiek oczu. Arabella - mniszka nie jest bynajmniej zawiedzioną i rozgoryczoną ofiarą nieszczęśliwej miłości, chroniącą się w mury klasztoru, aby znaleźć chociaż spokój, skoro musiała pogrzebać szczęście. Brzmi to bardzo dziwnie. Dlaczego? Ponieważ przywykliśmy uważać za szczęśliwe tylko takie miłości, które uzyskują sankcje ważności i trwałości na przysłowiowym ślubnym kobiercu (w wypadkach szczególnie nagłych można zresztą formalności z kobiercem odłożyć na później), za nieszczęśliwe zaś takie, które na ten kobierzec z jakichkolwiek względów nie trafiają. Jesteśmy więc przekonani, że Arabella, która musi się rozstać na zawsze z ukochanym, p o w i n n a być bardzo nieszczęśliwa. Mamy wrażenie, że przegrała ona swoją partię życiową w sposób jak najbardziej beznadziejny i ostateczny. Skoro nie mogła zostać cesarzową, to niechby choć została następczynią Johanny van der Gheenst, matki nieślubnej córki cesarza. Bylibyśmy tym cokolwiek zgorszeni, ale cały dramat rozegrałby się wtedy według wymagań konwencji dostępnych w zupełności naszemu potocznemu sposobowi myślenia i odczuwania. Arabella wybiera jednak całkiem inną drogę postępowania: w decydującej rozmowie z cesarzem demaskuje się, wyznaje — aczkolwiek pośrednio — swoje uczucia, lecz jednocześnie tak formułuje to wyznanie, aby Karol zrozumiał, że chodzi tu o sprawy zbyt wielkie, zbyt zasadnicze, by można je rozwiązywać przy pomocy jakichś trywialnych półśrodków. Wszystko, co w uczuciach Arabelli dla Karola było zamaskowanym egoizmem, pragnieniem zaspokojenia ambicji i wykradzenia czy wyłgania życiu nędznej namiastki szczęścia, mogącej stać się udziałem cesarskiej faworyty, wypala się do szczętu w ogniu miłości, która chce posiadać wszystko lub nic. Arabella patrzy w tym momencie na siebie i swój los tak, jakby jej „ja" zidentyfikowało się zupełnie z „ja" ukochanego. Co będzie dla niego najlepsze? Który z darów, jakie mogłaby jemu ofiarować, będzie najcenniejszy? Całe jej życie wewnętrzne skupia się w pragnieniu najbardziej bezgranicznego oddania, zatracenia się w jednym uczuciu, które osiągnęło już taki stopień natężenia, że stało się zupełnie bezosobiste. Psychologiczna prawda słów Ewangelii o odzyskaniu własnej duszy wtedy, kiedy się ją traci, znajduje pełne potwierdzenie w dziejach Arabelli. Ta dziewczyna, dojrzewająca tak nagle i boleśnie do pełnego człowieczeństwa, jest w tym momencie swego życia mocniejsza niż los: ona sama wyznacza jego bieg. Zwycięstwa takie nie są łatwe i okupuje się je bardzo drogo, ale czyż mimo wszystko można z ich powodu mówić o rezygnacji, bierności, słabości? O ileż bardziej heroiczna jest taka „wola słabości" niż niejeden wrzaskliwy i machający mieczem, a podszyty babską histerią heroizm!

PRZECZĄ sztuki jest doprowadzać idee do ich postaci najbardziej krańcowej, czystej, tworzyć pierwowzory postaw duchowych i typów działania. Historia Arabelli i Karola V jest właśnie takim obrazem-wzorcem. Pewne tendencje psychiczne, nieobce nam wszystkim przynajmniej w niektórych momentach życia, zostały doprowadzone w niej do swoich form absolutnych, doskonałych. Czyż znaczy to jednak, że zostały tym samym przeobrażone w czysto poetycki mit? Nie zapominajmy o jednym: miłość należy do tych uczuć, które w najsilniejszym stopniu wyzwalają żywy w każdym z nas potencjał poezji. Nigdy nie przeżywamy miłości tak prosto i bezpośrednio, jak np. głodu, zawsze — mniej lub więcej świadomie — teatralizujemy ją, przeobrażamy w pewnego rodzaju widowisko, którego jesteśmy zarazem reżyserami, aktorami i widzami. Otóż jest rzeczą bardzo ważną i istotną wybrać sobie dobry wzorzec takiego widowiska. Złe przedstawienie teatralne jest ostatecznie tylko przedstawieniem teatralnym: widzowie je wygwiżdżą,

(Dokończenie na str. 6)

rys. Gabriel Rechowicz

TERESA MUREK

WIERSZE

Cynie

Kiedy już wszyscy odeszli i nie stało ani Marii, ni Jana,
Zostały tylko cynie, martwe jak zakrzepła rana.

Spływała na nie łaska wezbraną, ciepłą falą,
a one trwały obojętne Bożym i własnym sprawom.

Może pomyślały, że na krzyżu trudno słuchać czyichkolwiek cierpień,
A może nie widziały swojej śmierci za wczesnej.

Serca ogromną tkliwością darmo nad nimi się skłaniać
— Trwalsza ich obojętność nad męki i zmartwychwstania.

Nie płaczcie tu swoją rozpaczą, swoją radością nie krzyczcie —
Jakże wam zawtórują martwe, blaszane liście?!

Nie wiem, z jakiego pochodzą kraju, w jakiej hodowane epoce,
Mogły być w każdym miejscu — każdemu jednako obce.

Wszędzie tępo, uparcie, na przekór wszystkiemu kwitły
— — — — — — — — — — — — — — —
Ach, przestań za mnie umierać! Nie mam już siły.

Ballada o śpiewie

Człowiek ścina drzewo
i śpiewa
o domu, który zbuduje:
w ścianach złotych jak słońce zamieszka śmiech
i żona o rękach mądrych jak pszczoły,
i córka, co leczy oczy zielone jak liście,
i syn, który oswoił groźne, czarne maszyny,
teraz spod jego rąk odpływają taśmami pasów transmisyjnych
niosących chleb;
zamieszka człowiek
i jego książki — mądre jak ręce żony,
przyjdzie światło
— białe i ostre jak odłupana drzazga —
przyniesie wieść o ludziach,
którzy zabili drzewa,
żeby zbudować okopy,
i o ludziach,
którzy drzewami przekreślają pustynię.

Człowiek sadzi drzewo
i śpiewa:
żeby mądrze rozdzielić światło i cień,
kiedy się dzieci bawią w piasku;
żeby zakochani znaleźli schronienie
pierwszym, naiwnym słowom miłości;
żeby chorych oczu nie raził
jaskrawy nazbyt blask;
żeby pszczoły miały gdzie zbierać miód,
a kobiety wielką ciszę i spokój;
żeby ludzkie usnęło zmęczenie
ogromnym, spokojnym snem.
Człowiek słucha, jak drzewo szumi,
i szepcze:
oto zbudowałem mój świat,
prosty jak promień,
silny jak drzewo,
i gwiazdy, jak psy posłuszne, mogę przywołać ręką.
Ale pozostał,
ostry jak szelest wiatru o liście,
niepokój
i wiem,
że kiedy przeminiemy i ja, i drzewo
— zostanie.

Południe

Krople upału pluszczą w okno,
domy prężą nagrzany grzbiet,
matka gładzi je cierpliwą ręką.

Cień był aż na drugiej ulicy,
a teraz się rozgniewał, nadąsał
i ucieka czym prędzej do domu.

Krowy na fotografii
wolno przeżuwają południe —
z pyska wiszą im promienie słońca.

* * *

Ruda wiewiórka na pniu.
Płomień w źrenicach.
— Nie doścignieszl
We wspomnieniu mozolnie budujesz łuk jej skoku,
chociaż był samym lotem
i drganie światła.

I gdyby nie płomień w źrenicach
i ręka przekazująca karcie falistość drobnego ciałka,
byłbyś nieporadniejszy od wiewiórki,
mogąc powtórzyć ten skok
tylko nieudolną wyobraźnią.

Bajka jesienna

Ołowiany żołnierz na warcie
ściskał ołowianą broń,
a już zawracała papierowa łódka
w nieskończoność.

Szczury ogromne i złe
w wodzie gnijącej jak rana.
Nie pomoże młodość i broń
ołowiana.

Ktoś pociągał niewidoczne sznury
i zza kurtyn wychodził ranek.
Umierały bardzo zmęczone
gwiazdy.

* * *

Młodzi poeci,
nie ufajcie wierszom, które płyną jak woda ze źródła
— nie orzeźwią niczyich ust.

Młodzi poeci,
nie ufajcie wierszom nadlatującym jak jaskółki
— nie staną się ochłodą niczyjego czoła.

Młodzi poeci,
nie ufajcie wierszom urodzonym łatwo jak niedonoszony płód
— wargi wasze staną się martwe razem z ich śmiercią.

Katolicy w świecie

Spór o Goa

OD roku 1947 rząd Unii Hinduskiej sprzeciwia się utrzymywaniu na swym terytorium tzw. „enklaw zagranicznych" uznając je słusznie za przeżytek kolonializmu. Sprawa enklaw portugalskich, których ośrodkiem jest Goa, stała się ostatnio przyczyną coraz bardziej naprężonych stosunków między Delhi a Lizboną. Portugalczycy bowiem utrzymują, że Goa nie jest ich kolonią, ale znajdującą się w Indiach częścią Portugalii. Wykorzystują przy tym czynnik religijny: hinduską ludność Goa jest w dużej części katolicka i ta przynależność religijna jest jednym z głównych argumentów wysuwanych przez Portugalczyków w sporze o Goa. Rząd hinduski natomiast powołuje się na przesłanki geograficzne i gospodarcze, wysuwając argument jedności terytorialnej kraju. Rząd premiera Nehru wyraził zarazem gotowość zagwarantowania katolikom pełnej swobody religijnej. On sam wypowiedział się w tej sprawie w przemówieniu na temat polityki zagranicznej wygłoszonym w Izbie Ludowej w Delhi w dniu 25 sierpnia ub. roku: „Portugalskie twierdzenia o domniemanej wrogości hinduskiej w stosunku do katolików i niebezpieczeństwie na jakie byliby narażeni, gdyby Goa zostało przyłączone do Unii Hinduskiej, zostały przez hinduskich katolików, a zwłaszcza przez wyższy kler, jak najkategoryczniej odparte. Katolicy hinduscy są zdania, że twierdzenia te są nie tylko fałszywe, ale stanowią poza tym w stosunku do nich i do ich kraju zniewagę. Stan liczebny katolików w Indiach wynosi 5 milionów. Cieszą się oni całkowitą swobodą religijną, poważaniem i szacunkiem pozostałej części rodaków. Wiedzą oni, że gwarancje jakie im daje konstytucja są istotnie w praktyce stosowane. Ostatnio w Bombaju, podczas licznego zgromadzenia mieszkańców Goa, złożonego z ludzi o różnych przekonaniach i na ogół nie należących do żadnej partii, poczucie to znalazło zdecydowany wyraz, a niesłuszność portugalskich twierdzeń została ujawniona."

Zapewnienia zawarte w tym przemówieniu potwierdził arcybiskup Delhi — Fernandez: „Hinduska konstytucja gwarantuje każdemu, a więc także i wszystkim członkom Kościoła katolickiego, prawo do wyznawania i praktykowania oraz propagowania wszelkiej religii. Również i chrześcijanie nie powinni mieć żadnych obaw." W tym samym duchu wypowiedział się arcybiskup Bombaju, kardynał Gracias: „Nie przypuszczam, aby trzeba było uspokajać obawy wyrażone przez pewne osoby odnośnie zabezpieczenia relikwii św. Franciszka Ksawerego (które znajdują się w Goa — przyp. red.) oraz wolności religijnej w Unii Hinduskiej. Zapytuję was mimo to: czyż nic posiadamy w różnych okolicach naszego kraju świątyń o znaczeniu narodowym i czy mieliśmy kiedykolwiek powody, aby się o nie obawiać? Czyż ponadto nie cieszymy się wolnością wyznania i swobodą wykonywania praktyk religijnych?"

Wbrew temu co twierdzą Portugalczycy, Goa jest w rzeczywistości kolonią, a jej oddzielenie od Unii Hinduskiej — anachronizmem. Istotna siła argumentów Indii leży w tym, że odwołują się one do powszechnego poczucia jedności narodowej oraz są wyrazem dążenia do ostatecznej likwidacji systemu kolonialnego na półwyspie indyjskim. Rozważając zaś argumenty strony przeciwnej sugerujące, że Goa jako „małe państwo katolickie" musi pozostać pod rządami katolickiej Portugalii, trzeba również wziąć pod uwagę fakt, że katolicy stanowią tylko około 50 procent ludności. Katolicy ci bynajmniej nie są zwolennikami politycznego związku ich kraju z Portugalią, czemu niejednokrotnie dawali wyraz. Znaczna część duchowieństwa katolickiego — zarówno księży jak i członków hierarchii rekrutujących się spośród ludności miejscowej — opowiada się za przyłączeniem do Indii, mimo represji stosowanych przez władze portugalskie.

Portugalczycy muszą więc zrozumieć, że katolicy hinduscy z Goa nie zaprzestaną walki o wyzwolenie swego kraju. Absurdalny jest wysuwany przez nich zarzut, jakoby kampania wyzwoleńcza prowadzona była tylko przez zwolenników komunizmu. Przeczy temu np. wydany jesienią ub. roku manifest wzywający do zjednoczenia Goa z Unią Hinduską, który został podpisany również przez katolików czynnie zaangażowanych w ruchu wyzwoleńczym. M. in. wymienić tu można znanego działacza katolickiego dr Menino D'Souza, przewodniczącego Związku Studentów Katolików, dr Mascarenhasa, b. burmistrza Bombaju i in. Organizacja, w której ludzie ci prowadzą swą działalność nosi nazwę „Rady Wyzwolenia Goa", a wszyscy jej członkowie są bezpartyjni.

Ostatnio w sprawie Goa zabrał głos prezydent Portugalii Salazar. Wygłosił on przed Zgromadzeniem Narodowym przemówienie, w którym stwierdził, że „w ciągu całej swej działalności publicznej unikał skrupulatnie mieszania religii do polityki", jednak to „nie przeszkadzało mu żywić przekonania, że w Indiach istnieją rzeczywiście problemy o charakterze religijnym..." „Jeżeli ci lub inni obywatele służą Unii Hinduskiej — powiedział Salazar — spełniają oni swój obowiązek, lecz jeżeli jako katolicy działają przeciwko Portugalii w Goa, czynią coś, czego im robić nie wolno i od czego powinni naprawdę się powstrzymać". Przedstawiając trudności, jakie powstały obecnie dla Portugalii w Unii Hinduskiej na terenie religijnym w związku z Goa, Salazar wyjaśnił, że „przyczyniają się do tego katolicy progresiści" — tym mianem określił katolików hinduskich walczących o wyzwolenie swego kraju spod władzy Portugalii. W dalszym ciągu swego przemówienia zwalczał on również tezę zwolenników Unii Hinduskiej, według której „gdyby suwerenność portugalska zniknęła z Goa, wraz z nią zniknęłaby nieufność w stosunku do obcych księży i misjonarzy". Zdaniem Salazara „misja chrześcijańska w Goa może się rozwijać jedynie pod państwową opieką portugalską".

Twierdzeniom prezydenta Portugalii przeczy faktyczny stan rzeczy.

Od bardzo dawnych czasów istnieje w Goa duchowieństwo rekrutujące się spośród ludności miejscowej. Są to jednak duchowni niższych stopni. Podczas gdy w innych częściach Indii, w których znacznie później powstały społeczności chrześcijańskie byli już biskupi i arcybiskupi Hindusi, a w Bombaju nawet kardynał, Goa, kraj od dawna katolicki, pozostawał pod władzą Patriarchy portugalskiego. Nie jest sprawą przypadku, że duchowny Hindus otrzymuje wysoką godność kościelną dopiero wówczas, gdy wyjedzie z rodzinnego kraju jak np. w wypadku kardynała Gracias. W wielu rozmaitych dziedzinach mieszkańcy Goa nie uzyskali całkowitego równouprawnienia z Portugalczykami, nic więc dziwnego, że nie okazują entuzjazmu dla dalszej opieki z ich strony. Stosunek Portugalczyków do Hindusów ilustruje doskonale list pochodzący z XVII w. napisany przez zakonnika Teatyna do Generała zakonu: „Każe mi Ojciec nie wahać się i przyjąć do zakonu tych czterech braminów. Mój Ojcze, jak możemy ryzykować przyjęcie tych tubylców do naszej kongregacji. Portugalczycy nienawidzą ich do nieprawdopodobnego stopnia. Nie raczą prosić ich by usiedli kiedy przyjmują ich u siebie, nawet jeżeli to są księża. Jakże narażony będzie honor naszego zgromadzenia, jeżeli jego ojcowie nie będą uważani za dość godnych, by usiąść i będą musieli stać nawet przed zwykłym świeckim Portugalczykiem, który nie raczy się podnieść na ich przyjęcie".

Pod nowym płaszczykiem „posiadłości" stosunki pozostały niemal te same.

Z chwilą gdy Goa zostanie przyłączone do Indii, mieszkańcy Goa będą przynajmniej wiedzieli, iż są „obywatelami pierwszej a nie drugiej" kategorii, obywatelami wielkiego państwa i że ludzie piastujący najwyższe godności kościelne i świeckie będą ludźmi tej samej rasy, z którymi znajdą wspólną płaszczyznę porozumienia.

Można wreszcie postawić pytanie, czy rzeczywiście przyłączenie do Indii stanowić będzie niebezpieczeństwo dla kulturalnych i religijnych tradycji Goa. Należy odpowiedzieć na to pytanie przecząco, bowiem niewątpliwie faktem jest, że chrześcijaństwo w Azji musi przede wszystkim zerwać z europejskim „protektoratem". Katolicyzm Goa, tak samo jak katolicyzm w całych Indiach może rozwijać się jak najpomyślniej będąc wiarą mniejszości. Powracając do przemówienia prezydenta Salazara możemy powiedzieć, że Goa rzeczywiście posiada misję do spełnienia, ale misja ta wymaga, aby włączyło się ono do otaczającego świata a nie odcinało od niego. W chwili obecnej jest to — jak pisze konserwatywne angielskie pismo katolickie „The Tablet" — „stojąca woda a nie platforma ogólnego porozumienia. Nawet oficjalnie narzucony język jest przeszkodą dla tych obywateli, którzy pragną nieść pochodnię wiary".

B. H.

Redaguje Zespół.
Prenumerata miesięczna 4 zł. Kwartalna 12 zł. Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43; tel. 8-60-11 (15). Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze. Zakłady Drukarskie i Wkładodrukowe RSW „Prasa" W-wa Marszałkowska 3/5
Zam. Nr 514.
B-6-383

PAMIĘTNIKI DE GAULLE'A

SZYMON DEREŃ

W dniu 17 stycznia 1940 r. sędziwy i powszechnie jeszcze wówczas szanowany zwycięzca spod Verdun, marszałek Pétain, zwrócił się jako szef rządu do narodu francuskiego z oświadczeniem radiowym, że Francja kapituluje przed najazdem hitlerowskim. Fakt ten został poprzedzony o parę godzin wcześniej kryzysem rządowym, spowodowanym wypowiedzeniem się większości członków gabinetu Paul Reynauda przeciwko koncepcji premiera przeniesienia władz naczelnych Republiki do Afryki Północnej i przegranej kampanii w Metropolii kontynuowania wojny w oparciu o imperium francuskie. Zdezorientowany i gubiący się w „legalizmie parlamentarnym" prezydent Lebrun powierzył misję utworzenia nowego gabinetu grupie, która domagała się pozostania rządu w kraju nawet kosztem pełnej kapitulacji i wysuwała jako argument obawę „anarchii i rewolucji".

W dniu 18 czerwca 1940 r. wystąpił przez radio brytyjskie w Londynie młody i mało jeszcze znany w szerszych sferach społeczeństwa francuskiego generał de Gaulle z protestem przeciwko zdradzieckiej kapitulacji i z wezwaniem do kontynuowania wojny z nieprzyjacielem przy boku Wielkiej Brytanii. Wystąpienie to stało się punktem wyjścia rozwijającej się pod skrzydłami Wielkiej Brytanii akcji Wolnej Francji, zwanej popularnie ruchem gaullistowskim.

Dla zrozumienia genezy i rozwoju tego ruchu, jego istotnego sensu politycznego i społecznego oraz jego wkładu w walkę narodową Francuzów przeciwko okupacji hitlerowskiej, niezbędnym materiałem stają się pamiętniki gen. de Gaulle'a. Ich pierwszy tom, obejmujący okres od czerwca 1940 r. do lipca 1942 r., ogłoszony został w końcu ubiegłego roku, przy czym znaczną jego część zawierają teksty dokumentów, mających ilustrować wywody autora *).

De Gaulle był bezwzględnie jednym z najzdolniejszych i najbardziej ambitnych sztabowców przedwojennej armii francuskiej. Długoletnia praca w Sekretariacie Generalnym Obrony Narodowej pozwoliła mu poznać wszechstronnie mechanizm i słabości francuskich planów strategicznych, opartych na przecenianiu stworzonego systemu umocnień nadgranicznych (tzw. Linia Maginota). W paru pracach wojskowo - naukowych zwrócił on uwagę na rolę czynnika ruchu i ognia w wojnie nowoczesnej, a w związku z tym domagał się tworzenia wielkich jednostek pancernych, ważnych zarówno w ofensywie, jak i w obronie.

Słuszne, nowatorskie i śmiałe koncepcje młodego pułkownika zostały lekceważąco potraktowane przez generałów francuskich, natomiast zainteresowały sztabowców odbudowywanego przez Hitlera Wehrmachtu, którzy nie omieszkali wykorzystać je w swych awanturniczych planach tzw. Blitzkriegu. Na początku wojny czołgi francuskie nie ustępowały niemieckim ani pod względem ilości, ani pod względem jakości, lecz nie zostały należycie wykorzystane dzięki bezcelowemu rozproszeniu ich między poszczególne dywizje, brygady i pułki.

W ostatniej chwili zorganizowano co prawda parę dywizji zmechanizowanych, lecz i im przeznaczono zadania jedynie pomocnicze. Tylko dywizja dowodzona przez de Gaulle'a zdobyła się na przeprowadzenie celowej akcji, lecz jej lokalne sukcesy nie miały wpływu na całość przegranej kampanii. W swych chaotycznych i nerwowych staraniach ratowania sytuacji premier Reynaud powołał wówczas de Gaulle'a, świeżo mianowanego generałem, na stanowisko podsekretarza Stanu w kierowanym przez siebie osobiście Ministerstwie Obrony Narodowej.

Tydzień tylko piastował on ten urząd, gdy podczas służbowego pobytu w Londynie doszła go wiadomość o zgubnej dla Francji decyzji zaprzestania ognia, wydanej przez okrytych dawniej sławą wodzów — Pétaina i Weyganda. Po naradach z premierem Churchillem de Gaulle uznał, że wobec jawnej zdrady interesów narodowych Francji przez klikę prohitlerowską stojącą za plecami nowego rządu, trzeba odwołać się do patriotyzmu społeczeństwa, aby poprzez kontynuowanie walki zabezpieczyć w momencie spodziewanej klęski hitlerowców terytorialny i polityczny stan posiadania swego kraju.

Wielką zasługą kierowanego przez de Gaulle'a ruchu Wolnej Francji było, że zerwał on z kolaboracjonistycznym reżimem Vichy, proklamując zasadę walki przeciwko okupantom. Nie można odmawiać autorowi „Pamiętników" trafnego ocenienia sytuacji, miłości ojczyzny i chęci służenia jej interesom. Jednakże w tym wypadku wystąpiły specjalnie wyraziście prawidłowości społeczno - klasowych sprzeczności między sprawą narodową a celami i dążeniami warstw burżuazyjnych. Wbrew subiektywnym odczuciom de Gaulle'a ruch „Wolnej Francji" stał się — w praktyce narzędziem w rękach reakcji i środkiem wykorzystywanym przez rząd Wielkiej Brytanii dla narzucenia w przyszłości Francji swych wpływów.

Nie było rzeczą przypadkową, że na londyński apel de Gaulle'a odezwały się od razu koła burżuazji francuskiej, związane od dawna z kapitałem brytyjskim, oraz elementy wywodzące się z b. bojówek kagulardowskich, zwalczających z pozycji faszystowskich ustrój liberalizmu parlamentarnego we Francji. Rozumieli oni, że łatwy do przewidzenia zryw ludu francuskiego do walki z okupantem doprowadzić może po wyzwoleniu do utracenia przez burżuazję dotychczasowych pozycji panujących. Starali się więc wziąć w swe ręce monopol na „ruch oporu", aby w oparciu o Wielką Brytanię pokierować nim zgodnie ze swymi interesami klasowymi.

Nadało to od początku ruchowi gaullistowskiemu wyraźne oblicze ideologiczne i zadecydowało o jego strategii i taktyce. Chciał on za pomocą odpowiedniego skanalizowania patriotyzmu Francuzów uniemożliwić rozwijanie się prawdziwie ogólnonarodowej walki z okupantem wewnątrz kraju, aby w momencie desantu sojuszników zachodnich uchwycić władzę w swe ręce i ustanowić tzw. rząd autorytatywny. Celem takiego rządu miała być likwidacja wpływów stronnictw politycznych, a przede wszystkim zaś partii komunistycznej, na rzecz ustroju zabezpieczającego warstwę posiadającą od rewolucji społecznej.

Zgodnie z tym ruch gaullistowski kładł nacisk głównie na akcję zewnętrzną w postaci tworzenia francuskich oddziałów walczących pod dowództwem brytyjskim, a ich bazę rekrutacyjną widział w wyzwalanych kolejno zamorskich posiadłościach Francji. W tym właśnie manifestować się miała przede wszystkim kontynuacja wojny z państwami osi. Co się tyczy akcji „krajowej", to Wolna Francja dążyła jedynie do tworzenia organizacji podziemnej, szykującej się do późniejszego wystąpienia. Był to więc francuski wariant „stania z bronią u nogi".

De Gaulle przyznaje zupełnie otwarcie w I tomie swych Pamiętników, że był wtedy przeciwny wszelkim aktom bezpośredniej walki z okupantem, gdyż jego zdaniem pociągało to za sobą zbyt duże ofiary w postaci reakcji terrorystycznej hitlerowców. Natomiast przywiązywał dużą wagę do wykorzystywania tworzonej sieci organizacyjnej dla zdobywania wiadomości wojskowo - strategicznych o armii niemieckiej, gdyż oddawało to duże usługi dowództwu brytyjskiemu i ułatwiało mu opracowywanie planów przyszłego desantu.

W ten sposób już nawet w pierwszych dwóch latach okupacji zarysowała się wyraźnie przeciwstawność dwóch metod rozumienia ruchu oporu. Powstające żywiołowo z inicjatywy partii komunistycznej oddziały bojowe szły pod sztandarem walki ludowej prowadzonej wszelkimi sposobami i na każdym miejscu, podczas gdy tworzona powoli organizacja gaullistowska trzymała się taktyki biernego oczekiwania na desant sojuszników, kierując główną uwagę na opanowywanie wszystkich ośrodków oporu. Hasłem ich był zwrot: „Jedna walka, jeden szef".

Ta taktyka, dyktowana względami klasowo - społecznymi, była sprzeczna z interesami narodowymi i miała usprawiedliwiać określanie jej jako faktyczne sabotowanie ruchu oporu. Jeżeli chodzi o działalność zewnętrzną, będącą właściwym terenem aktywności ruchu gaullistowskiego, to w tej dziedzinie obarczało go faktyczne uzależnienie od gospodarzy brytyjskich.

Przeważna część tekstu Pamiętników de Gaulle'a dotyczy szerokiego opisywania przez niego walk, które musiał staczać w obronie interesów Francji na arenie międzynarodowej, stykając się z negatywnym ustosunkowaniem dyplomacji amerykańskiej do ruchu Wolnej Francji.

Autor opisuje wymownie, jak starał się bronić niezależności Komitetu Wolnej Francji, lecz wbrew jego subiektywnym ocenom wynika jasno, że był pionkiem w rozgrywkach konkurencyjnych między Wielką Brytanią i Stanami Zjednoczonymi o powojenne uzależnienie od siebie osłabionej Francji. Churchill wiedział dobrze, że koła burżuazji francuskiej, stojące za de Gaulle'em, widzą swą przyszłość w wiązaniu się z Wielką Brytanią, toteż konsekwentnie dążył do narzucenia ich władzy w wyzwolonym od okupacji kraju.

Z tej samej racji dyplomacja amerykańska nie chciała uznać ruchu gaullistowskiego jako reprezentanta suwerennej Francji i swe plany na przyszłość bazowała na wykorzystaniu ludzi reżimu Vichy, pod pozorem brania za dobrą monetę frazeologii „attentyzmu" (wyczekiwania), którą otoczenie Pétaina starało się maskować rzekomo formalną kolaborację z hitlerowcami.

W tej sytuacji brak wiary we własne siły Francji, wypływający logicznie z odrzucania a priori, ze względów społecznych, odwołania się do walki ogólnonarodowej, dyktował de Gaulle'owi konieczność kurczowego trzymania się Wielkiej Brytanii jako swego jedynego oparcia. Charakterystyczne jest, że nie przeniósł od razu siedziby Komitetu Wolnej Francji do jednej z wyzwolonych kolonii afrykańskich, gdyż i tak byłby tam nadal całkowicie uzależniony od pomocy materialnej i politycznej Wielkiej Brytanii, więc wolał pilnować swych interesów na miejscu w Londynie.

Zależność zaś ta była, sądząc z ogłoszonych przez niego samego dokumentów, bezwzględnie daleko posunięta. Rząd brytyjski nie tylko nie liczył się z postulatami de Gaulle'a przy okazji poszczególnych akcji politycznych i wojskowych, ale nie krępował się nawet ingerować bezpośrednio w sprawy wewnętrzne i personalne nominalnie „suwerennego" Komitetu Wolnej Francji. Naturalnie, wszystko odbywało się pod osłoną układnych formułek dyplomatycznych. Gospodarze brytyjscy dbali o zachowanie pozorów i tolerowali drażliwości ambicyjne de Gaulle'a, godząc się w obliczu jego protestów na załatwianie „kompromisowe", w którym jednak konsekwentnie utrzymywali swą linię faktycznego nieliczenia się z interesami Francji.

Najjaskrawiej może przejawiło się to w akcji zbrojnego usuwania władz i wojsk reżimu petainowskiego z mandatowych posiadłości Francji w Syrii i Libanie. Anglicy początkowo nie chcieli się w ogóle zgodzić na udział w tej akcji oddziałów gaullistowskich pod „humanitarnym" pretekstem niedopuszczenia do walk bratobójczych. Następnie przyznali im rolę całkowicie formalną i proklamowali bez porozumienia się z de Gaulle'em niepodległość tych krajów, tworząc tam rządy faktycznie od siebie uzależnione.

Jedynym konkretnym osiągnięciem de Gaulle'a było stworzenie szeregu jednostek wojskowych, które brały udział w bitwach na różnych frontach, u boku armii sojuszniczych, „przypominając" w ten sposób, że „Francja jest i walczy". Eskadra lotnicza „Normandie-Niemen" odznaczyła się na frontach radzieckich, a dywizja francuska gen. Koeniga okryła się chwałą pod Bir-Hakeim ratując armię angielską w momencie ofensywy Rommla w Libii latem 1942 r.

Na przedstawieniu tych pięknych kart oręża francuskiego kończy się I tom Pamiętników de Gaulle'a. Należy jeszcze podkreślić ich nieprzeciętną formę literacką, świadczącą, że autor ma prawo zaliczać się do czołowych stylistów francuskich.

*) General de Gaulle, Memoires de Guerre I. L'Appel, 1940—1942, Paris 1954, Str. 680.

„OD PYRRUSA DO ADENAUERA"

TAKI tytuł mógłby dać historyk piszący ciekawą a pouczającą rozprawę o pozornych zwycięstwach możnych tego świata, które oznaczają w istocie ich klęskę. A chociaz casus kanclerza Niemieckiej Republiki Federalnej znalazłby się z chronologicznych względów na ostatnim miejscu, nie jest wcale mniej ważny, niż dwadzieścia dwa wieki wcześniejsza historia pysznego króla Epiru. Przeforsowanie bowiem przez Adenauera ratyfikacji układów paryskich wydaje się nie tylko początkiem jego osobistego upadku: wydarzenie to może mieć zupełnie niezamierzone przez Bonn reperkusje w sytuacji międzynarodowej Niemiec. Posłuchajmy zadziwiająco zharmonizowanego trójgłosu poważnych pism burżuazyjnych, reprezentujących trzy zupełnie odrębne grupy opinii publicznej Anglii i Stanów Zjednoczonych. Wszystkie te komentarze, pisane przed debatą w Bundestagu, przewidywały ratyfikację układów. Ale...

Konserwatywny dziennik brytyjski „Daily Telegraph" stwierdza z niepokojem — „Sytuacja w Niemczech zachodnich jest alarmująca. Nie ma żadnej gwarancji, że pozytywna decyzja Bundestagu stanowić będzie prawidłowe odbicie rzeczywistych nastrojów opinii publicznej tego kraju. Nic nie podminowałoby szybciej demokracji niemieckiej (czyt.— koalicji Adenauera) niż zaaprobowanie Unii Zachodnio-Europejskiej przez parlament wbrew woli większości wyborców. A każdy tydzień przynosi nowe dowody tego, że niebezpieczne rozbicie pogłębia się w dalszym ciągu", Wtóruje stołeczny dziennik amerykański „Washington Star" — „Bardziej realistyczne jest przewidywanie, że w najbliższej przyszłości Niemcy zachodnie pójdą drogą wprost przeciwną niż droga wytyczona przez Departament Stanu. Ewolucja polityczna, dokonująca się dzisiaj w Niemczech, to ewolucja potężnych nowych sił działających w umysłach tego narodu".

Najciekawiej pisze jednak o tej sprawie trzecie pismo, lewicujący tygodnik angielski „New Statesman and Nation", którego obszerny artykuł pt. „Rewolta w Niemczech zachodnich" będziemy tu jeszcze cytować. Stwierdza on — „Głosowanie nad ratyfikacją będzie tylko sygnałem dla podniesienia kurtyny kryzysu — kryzysu, wyrażającego się w konflikcie pomiędzy parlamentem a narodem, w którym stawką będzie nie tylko remilitaryzacja Niemiec zachodnich, ale rząd Adenauera a może nawet cała wewnętrzna struktura tymczasowego państwa związkowego. Państwo to — nie zapominajmy — nie ma bowiem żadnych korzeni ani w historii Niemiec, ani w woli narodu niemieckiego; jest kruchym tworem powołanym do życia przez *fiat* sprzymierzonych i wprowadzonym w czasie, gdy Niemcy byli pod podwójnym brzemieniem klęski i głodu. Przez ratyfikację układów paryskich państwo żądać będzie od swoich obywateli poświęceń, które egzekwować może jedynie prawdziwa ojczyzna; postawi ono wątpliwy autorytet konstytucji nigdy nie usankcjonowanej przez pochodzący z wyborów organ przeciwko woli narodu".

A jakaż jest ta wola? Ludność Niemiec zachodnich widzi przed sobą ostro zarysowaną alternatywę — remilitaryzacja lub zjednoczenie. I równie silnie nie chce pierwszej ewentualności, jak pragnie drugiej. Antymilitaryzm Niemiec zachodnich po 1945 roku jest — musimy sobie uświadomić ten często niedoceniany fakt — o wiele silniejszy, niż podobny prąd z lat 1918-19. Pierwsza wojna światowa nie wytworzyła takiego słowa jak „Barras" — nieprzetłumaczalne określenie na nienawiść do wszystkiego, co ma jakiś związek z życiem lub ideologią militarną — które znajdziemy dziś na murach każdego miasta niemieckiego. Przeciw militaryzmowi występują byli żołnierze i naukowcy, pisarze i artyści, a przede wszystkim robotnicy. Ich związki zawodowe zajmują zdecydowane stanowisko, traktując walkę przeciw remilitaryzacji jako część walki przeciw odrodzeniu dawnego systemu społecznego. Bo nowa armia w Niemczech to nie tylko widmo wojny; to powrót arystokracji i bogatego mieszczaństwa jako aktywnej siły politycznej, zorganizowanej w korpus oficerski; to nowe ciężary i obniżenie stopy życiowej robotnika; to wreszcie szereg przepisów prawnych faszyzujących ustrój państwowy — uprawnienia rządu na wypadek stanu wyjątkowego, uznanie propagandy antymilitarystycznej za przestępstwo ścigane karnie itd. To na koniec utrwalenie rozbicia Niemiec. A zjednoczenia pragnie gorąco każdy mieszkaniec Republiki Związkowej. Spójrzmy tylko — robotnicy organizują wielkie strajki w stalowniach i kopalniach, słynny już „Manifest niemiecki" z Paulskirche nosi podpisy przedstawicieli związków zawodowych, podpisy socjaldemokratów, duchowieństwa i pracowników uniwersyteckich. Dziewięćdziesięciu duchownych chrześcijan wszystkich wyznań na spotkaniu w Halle, 1 lutego br., jednocześnie zaaprobowało „Manifest" i wezwało wiernych do oporu przeciw remilitaryzacji. A w Berlinie podobna ilość generałów i wyższych oficerów b. armii niemieckiej z obu części Niemiec wystosowała apel do narodu, w którym czytamy mocne słowa — „Odrzucamy wszelką służbę pod obcymi sztandarami. Przywrócenie jedności jest pierwszym i najwyższym żądaniem wszystkich Niemców. Brońcie swego honoru!"

Logiczną konsekwencją dążenia do zjednoczenia jest domaganie się rokowań z ZSRR. Przyznaje to ze smutkiem reakcyjny „New York Herald Tribune", pisząc o dwu drogach do jedności — „Jedna droga — to wojna ze Związkiem Radzieckim. Niemcy jednak uważają ten pomysł za beznadziejny i samobójczy. Jest on ogólnie odrzucany przez wszystkich, począwszy od socjaldemokratycznej lewicy do najskrajniejszej prawicy. Druga — to działanie dyplomatyczne i rokowania; jedyny pogląd traktowany w tej chwili przez Niemców poważnie... Kości są już rzucone za tą czy inną formą układów z Rosjanami".

Ale tego w zaślepionym uporze nie rozumie Adenauer. Przeprowadzenie układów w Bundestagu utwierdzi tylko jego ufność nowego „żelaznego kanclerza" we własną siłę. A tymczasem powstaje przeciw niemu niejednolita jeszcze co prawda, pstrokata, podobna do średniowiecznych zagonów rycerskich, ale liczna armia — są w jej szeregach socjaldemokraci i pacyfiści, związki zawodowe i liberalni demokraci o zabarwieniu nacjonalistycznym lub lewicowo - liberalnym, uciekinierzy z Saary i radykałowie, protestanci i katolicy. Jest ich tak wielu, że — słowami miesięcznika „Christ und Welt" — „trudno wprost zliczyć siłę faktyczną przeciwnika".

Cytowany już „New Statesman and Nation" pisze o możliwościach rozwoju sytuacji. „Pierwsza, że ratyfikacja w końcu upadnie we Francji i da to czas na przemyślenie w Londynie i Waszyngtonie. Druga — coraz realniejsza — że mimo żelaznej ręki Adenauera liberalni demokraci, partia przesiedleńców i część jego własnej partii chrześcijańsko-demokratycznej zostaną powoli przesiąknięci postawą swych wyborców i opuszczą go, gdy stanie się jasne, że remilitaryzacja zagradza drogę do zjednoczenia". I kończy — jakże usprawiedliwioną — ironią — „Układy paryskie, za które sir Anthony Eden otrzymał Order Podwiązki, miały na pewno w intencji twórców zbudować „pozycje siły" we Francji, w Niemczech i umocnić sytuację Mendès-France'a i Adenauera. Osłabiły już pierwszego; osłabiły kanclerza i mogą zakończyć dzieło także jego klęską".

STEF.

KS. MARIAN MYRCHA

ZAGADNIENIA PRAWNE

AKADEMII TEOLOGII KATOLICKIEJ

W listopadzie ub. roku odbyła się w Warszawie uroczystość otwarcia Akademii Teologii Katolickiej, a zarazem inauguracja roku akademickiego 1954/55, pierwszego w nowoutworzonej uczelni[1]).

Powstanie nowej uczelni o charakterze państwowo-kościelnym odbiło się głośnym echem w całej Polsce. Wymaga ona naświetlenia wielu kwestii, spośród których najważniejsza jest struktura prawna Akademii.

Zagadnienie struktury prawnej Akademii Teologii Katolickiej sprowadza się do dwóch punktów: sprawy struktury prawnej z punktu widzenia ustawodawstwa państwowego oraz struktury prawnej z punktu widzenia prawa kanonicznego.

To poszerzone zagadnienie prawne Akademii Teologii Katolickiej, obejmujące ustawodawstwo państwowe i kościelne, wypływa z istoty tej uczelni, która ma charakter państwowo-kościelny. Istnienie tego rodzaju uczelni jest wynikiem porozumienia między Kościołem i państwem w kwestii szkolnictwa w ogóle, a zwłaszcza w sprawie szkolnictwa wyższego.

W realizowaniu odrębnych celów — Kościół i państwo — stykają się ze sobą, wchodzą na płaszczyznę spraw wspólnie je obchodzących: pochodzi to stąd, że przedmiotem realizacji ich celów są zasadniczo ci sami ludzie, którzy będąc członkami Kościoła, są również obywatelami państwa. Dobro wspólne domaga się porozumienia między nimi w tych sprawach. Do takich dziedzin zaliczają się między innymi sprawy szkolnictwa.

Jeśli chodzi o stosunki polskie, to z punktu widzenia prawa państwowego znalazło ono wyraz w Konstytucji Polski Ludowej w art. 61.

W Polsce porozumienie między Kościołem a państwem co do kwestii szkolnictwa wyższego datuje się od dawna. Wyrazem tego jest powołanie na uniwersytetach państwowych wydziałów teologicznych, jak np. na Uniwersytecie Jagiellońskim w r. 1397 i Warszawskim w r. 1918 oraz nadanie praw państwowych Katolickiemu Uniwersytetowi Lubelskiemu w 1934 r.

Akademia Teologii Katolickiej jest dalszym ciągiem obydwu Wydziałów Teologicznych oraz gwarantuje w swym Statucie całkowite podporządkowanie się pod względem nauczania i wychowania prawu kościelnemu. W dodatkowym zaś protokole Rządu jest stwierdzone, że Seminaria Duchowne, tak jak wymaga tego prawo kanoniczne, pozostają pod wyłącznym kierownictwem biskupów polskich. Umożliwiło to czynnikom kościelnym w Polsce przyjęcie do wiadomości utworzonej przez Rząd uczelni — a Episkopatowi wydelegowanie do Akademii swojego przedstawiciela w osobie ks. biskupa prof. Pawłowskiego.

PRAWNO-PAŃSTWOWA STRUKTURA AKADEMII TEOLOGII KATOLICKIEJ

Z punktu widzenia prawa państwowego Akademia Teologii Katolickiej jest tworem państwowym, opartym na Uchwale Rady Ministrów i Prezydium Rządu z dnia 2 sierpnia 1954 r.

Prawną podstawą jej istnienia jest „Uchwała Rady Ministrów z dnia 2 sierpnia 1954 r. Nr 517/54 (Urząd Rady Ministrów PRL 786/54) w sprawie usamodzielnienia Wydziału Teologii Katolickiej Uniwersytetu Warszawskiego.

Uchwała ma następujące brzmienie: „W celu należytego zorganizowania studiów wyższych dla duchownych Rada Ministrów uchwala co następuje:

§ 1. Z Uniwersytetu Warszawskiego wyodrębnia się Wydział Teologii Katolickiej, który na podstawie dotychczas obowiązujących go przepisów prawa kanonicznego kontynuować będzie swą działalność w ramach Akademii Teologicznej z siedzibą w Warszawie.

§ 2. Uzyskiwanie stopni magistra i doktora oraz nadawanie tytułu profesora zwyczajnego, profesora nadzwyczajnego i docenta Akademii Teologicznej, jak również zasady organizacyjne regulują przepisy obowiązujące w tym przedmiocie na Wydziałach Teologii Katolickiej w dniu wejścia w życie niniejszej uchwały, oraz przepisy prawa kanonicznego.

§ 3. Wykonanie uchwały porucza się Ministrowi Szkolnictwa Wyższego.

§ 4. Uchwała wchodzi w życie z dniem 1 września 1954 r.

Prezes Rady Ministrów
(—) Józef Cyrankiewicz

Drugim aktem prawnym jest Uchwała Prezydium Rządu z dnia 2 sierpnia 1954 r. Nr 518/54 (Urząd Rady Ministrów PRL 791/54) w sprawie organizacji studiów Teologii Katolickiej. § 1 wymienionej uchwały stwierdza: „Dla zapewnienia odpowiednich warunków kształcenia teologicznego duchownych na najwyższym poziomie kwalifikacji Prezydium Rządu zobowiązuje:

1) Ministra Szkolnictwa Wyższego do zorganizowania z początkiem roku szkolnego 1954/55 Akademii Teologicznej w Warszawie i włączenia do niej Wydziałów Teologii Katolickiej z Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie i Warszawskiego.

2) Ministra Finansów do przyznania w porozumieniu z Ministerstwem Szkolnictwa Wyższego odpowiednich dodatkowych kredytów.

3) Prezesa Państwowej Komisji Etatów do przyznania na potrzeby Akademii Teologicznej w Warszawie odpowiednich dodatkowych etatów.

4) Pezydium Rady Narodowej w m. st. Warszawie do wydzielenia, w porozumieniu z Dyrektorem Urzędu do Spraw Wyznań, odpowiednich obiektów na pomieszczenia dla Akademii Teologicznej w Warszawie.

§ 2. Uchwała wchodzi w życie z dniem powzięcia".

Prezes Rady Ministrów
(—) Józef Cyrankiewicz

Obie wyżej wymienione uchwały są podstawą prawną Akademii Teologii Katolickiej z punktu widzenia państwowego. W oparciu o nie Prezydium Rady Narodowej m. st. Warszawy przydzieliło Akademii obiekty poklasztorne na Bielanach, a Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego przystąpiło do realizacji zadań poruczonych mu Uchwałą Rady Ministrów z dnia 2. VIII. 1954 r. Nr 517/54, powołując we wrześniu br. Komisję Organizacyjną i Podkomisję Statutową. Na posiedzeniu w dniu 30 września 1954 r. Podkomisji Statutowej z Przedstawicielem Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego projekt statutu Podkomisji przyjęty został przez Przedstawiciela Rządu i w ten sposób stał się projektem rządowym. Ten ostatni przedłożony Episkopatowi w dniu 4 października br. a po wniesieniu przez Episkopat poprawek i uzgodnieniu ich przez obie zainteresowane strony, w dniu 28 października br. statut Akademii nadany został przez Ministra Szkolnictwa Wyższego. Nadanie statutu Akademii było ostatnim aktem państwowotwórczym nowej uczelni.

Obie wyżej wymienione uchwały, jak i statut stanowią podstawę prawną Akademii z punktu widzenia ustawodawstwa państwowego[2]).

Powstaje pytanie, czy w związku z powołaniem do życia Akademii Teologii Katolickiej zaszły jakieś zmiany, a jeśli tak, to jakie z punktu widzenia ustawodawstwa państwowego w stosunku do dotychczasowych zakładów nauczania teologicznego w Polsce? Ażeby dać dokładną odpowiedź na to pytanie musimy uświadomić sobie stan prawny — oczywiście z punktu widzenia prawa państwowego — istniejący od czasu utworzenia wymienionej uczelni. Istniały dotychczas dwa Wydziały Teologiczne na państwowych uniwersytetach: jeden w Krakowie, na Uniwersytecie Jagiellońskim, drugi w Warszawie, na Uniwersytecie Warszawskim. Oba Wydziały utrzymywane były kosztem państwa i stanowiły składowe części wymienionych wyżej Uniwersytetów. Kierowały się one ustawodawstwem państwowym, dotyczącym szkolnictwa wyższego oraz przepisami prawa kanonicznego w sprawie szkolnictwa wyższego.

Gmach Akademii Teologii Katolickiej na Bielanach

Wymienione uchwały zmieniają ten stan rzeczy. Wydział Teologii Katolickiej UW mocą uchwały Rady Ministrów z dnia 2 sierpnia 1954 r. Nr 517/54 został wyodrębniony z Uniwersytetu i usamodzielniony. Przekładając to na język potoczny Wydział podniesiony został do wyższej rangi. Stał się samodzielną wyższą uczelnią. Znalazło to wyraz w statucie Akademii, gdzie w § 1 stwierdza się: Wydział Teologii Katolickiej Uniwersytetu Warszawskiego na podstawie uchwały Rady Ministrów z dnia 2 sierpnia 1954 r. Nr 517/54 jest samodzielną wyższą uczelnią. Jest to niewątpliwie zmiana o doniosłym znaczeniu w stanie prawnym Wydziału Teologicznego na UW.

W związku z tym nasuwa się nowe pytanie, jaka jest natura powyższej zmiany? Czy dotyczy ona tylko strony administracyjnej wydziału, czy również jego struktury wewnętrznej?

Nie ma najmniejszej wątpliwości, że zmiana ta dotyczy strony administracyjnej Wydziału. Wydział, stając się szkołą samodzielną, uzyskuje wyższy stopień w hierarchii administracji państwowej. Będąc samodzielną wyższą uczelnią posiada własne organa wykonawcze (rektora, prorektorów), znosi się bezpośrednio z Ministerstwem Szkolnictwa Wyższego, a nie pośrednio poprzez władze uniwersyteckie. Krótko mówiąc uzyskuje pod względem administracyjnym wyższy stopień bytowania. Zmiana ta niewątpliwie jest korzystna dla b. Wydziału Teologicznego na UW.

Czy zmiana ta dotyczy struktury wewnętrznej Wydziału? Odpowiedź na to pytanie jest negatywna. Wydział dotychczas posiadał prawo nadawania stopni naukowych: magistra i doktora teologii, filozofii chrześcijańskiej i prawa kanonicznego. Te same uprawnienia odnośnie powyższych stopni i z tych samych dziedzin nauki posiada Akademia. Stan prawny z punktu widzenia ustawodawstwa państwowego nie uległ tu żadnej zmianie oczywiście poza zmianą administracyjną[3]).

Można by tu zarzucić, że powyższa odpowiedź nie jest zupełna gdy się uwzględni poszerzenie wydziałów: filozoficznego i prawa kanonicznego w Akademii i o nowe katedry, których poprzednio Wydział nie posiadał. Na Wydziale Teologii Katolickiej Uniwersytetu Warszawskiego rozbudowana stosunkowo dostatecznie i samowystarczalna była sekcja teologiczna, natomiast sekcje: prawa kanonicznego i filozofii chrześcijańskiej były niedostatecznie skonstruowane, posiadały po dwie katedry. Braki pod tym względem zmuszone były uzupełniać na sekcji teologicznej i na innych wydziałach UW jak np. na wydziale prawnym, jeśli chodzi o sekcję prawa kanonicznego, gdzie słuchacze uzupełniali wiedzę przy katedrze prawa rzymskiego i cywilnego oraz statystyki i medycyny sądowej. Podobnie rzecz się miała z sekcją filozoficzną. Obecnie w Akademii Wydziały są samowystarczalne. Wydział prawa kanonicznego liczy 8 katedr, a Wydział filozofii chrześcijańskiej — 6 katedr. Jest to zysk na skutek przemiany Wydziału w samodzielną wyższą uczelnię — zysk natury administracyjnej, nie zmieniający jednak wewnętrznej struktury prawnej Wydziału Teologicznego UW.

Drugą zasadniczą zmianą jest włączenie Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego w ramy Akademii Teologii Katolickiej. Dokonane zostało to na mocy Uchwały Rady Ministrów z dnia 11 sierpnia 1954 r. Nr 591/54 (Urząd Rady Ministrów PRL 787/54). Uchwała brzmi: „W sprawie włączenia Wydziału Teologii Katolickiej Uniwersytetu Jagiellońskiego do Akademii w Warszawie. Rada Ministrów uchwala, co następuje:

§ 1. Z Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie wyodrębnia się Wydział Teologii Katolickiej, który na podstawie dotychczas obowiązujących go przepisów prawa kanonicznego kontynuować będzie swą działalność w ramach Akademii Teologicznej w Warszawie.

§ 2. Uzyskiwanie stopni magistra i doktora oraz nadawanie tytułu profesora zwyczajnego, profesora nadzwyczajnego i docenta Akademii Teologicznej, jak również zasady organizacyjne regulują przepisy obowiązujące w tym przedmiocie na Wydziałach Teologii Katolickiej w dniu wejścia w życie niniejszej uchwały oraz przepisy prawa kanonicznego.

§ 3. Wykonanie Uchwały porucza się Ministrowi Szkolnictwa Wyższego.

§ 4. Uchwała wchodzi w życie z dniem 1 września 1954 r."

Prezes Rady Ministrów
(—) Józef Cyrankiewicz

Uchwałę tę uwzględnia statut Akademii w § 11: „W ramach Akademii Teologicznej kontynuuje swą działalność Wydział Teologii Uniwersytetu Jagiellońskiego na podstawie dotychczas obowiązujących go przepisów prawa państwowego i kanonicznego oraz posługuje się własnym statutem".

Są to zmiany, jakie wprowadza ustawodawstwo państwowe w dotychczasowym stanie nauczania teologicznego na państwowych uniwersytetach w Polsce przez powołanie do życia Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie.

PRAWNO-KOŚCIELNA STRUKTURA AKADEMII TEOLOGII KATOLICKIEJ

W myśl kan. 1376 § 1 Kod. pr. kan. kanoniczne utworzenie uniwersytetów lub wydziałów katolickich jest zastrzeżone Stolicy Apostolskiej.

§ 2 wymienionego kanonu stwierdza: Uniwersytet lub Wydział katolicki winien posiadać statuty zatwierdzone przez Stolicę Apostolską.

Przepis kanonu 1376 był całkowicie realizowany, jeśli chodzi o dotychczasowe wydziały teologiczne na państwowych uniwersytetach w Polsce.

Wydział Teologiczny w Warszawie kanonicznie był erygowany w 1920 r. i statut jego zatwierdzony przez Stolicę Apostolską, a po wejściu w życie konst. „Deus scientiarum Dominus" z r. 1931 o uniwersytetach i wydziałach studiów kościelnych, Statut Wydziału dostosowany do wymienionej konstytucji i zatwierdzony przez św. Kongregację dla Uniwersytetów i Seminariów w 1934 r. jak tego wymaga art. 55—57 wymienionej Konstytucji.

Wydział warszawski pomyślany był jako uniwersytet katolicki — aczkolwiek nadano mu nazwę: „Facultas scientiarum ecclesiasticarum" — wydział nauk kościelnych. Wprowadzenie wyrażenia „Wydział" zamiast „uniwersytet" pochodzi stąd, że tworzona uczelnia katolicka w Warszawie miała nie być samodzielną szkołą, a być włączona do Uniwersytetu Warszawskiego. Trudno więc było przyjąć nazwę uniwersytet, albowiem byłby uniwersytet w uniwersytecie. Zamieniono więc słowo „uniwersytet" na „wydział". Zmiana nazwy nie dotyczyła jednak istoty uczelni.

Wydział otrzymał od Stolicy Apostolskiej prawo i to na czas nieograniczony (ad tempus indefinitum) nadawania stopni naukowych: magistra i doktora z 3 dyscyplin kościelnych: teologii, filozofii chrześcijańskiej i prawa kanonicznego. Nadawanie stopni naukowych z trzech podstawowych nauk kościelnych przysługuje tylko uniwersytetom katolickim, a nie wydziałom. Jeśli je otrzymał Wydział Teologiczny warszawski, to tylko dzięki specjalnemu przywilejowi, wydanemu przez Stolicę Apostolską. Nadanie tego przywileju Wydziałowi uzasadnia się tym, że Wydział miał nie być samodzielną wyższą szkołą, ale wchodzić w skład Uniwersytetu Warszawskiego. Ażeby nie pomniejszyć uprawnień tej uczelni przyznano Wydziałowi w formie przywileju prawo nadawania wyżej wymienionych stopni naukowych. Pociągało to za sobą podział Wydziału na trzy sekcje — ponieważ wydział nie mógł być w wydziale — i przyznania tym sekcjom prawa nadawania stopni akademickich we własnym zakresie zgodnie z prawem kanonicznym.

Taki stan prawny z punktu widzenia prawa kanonicznego istniał do roku obecnego, a ściśle mówiąc do wydania Uchwały Rady Ministrów z dnia 2. 8. 1954 r. Nr 517/54 w sprawie wyodrębnienia i usamodzielnienia Wydziału Teologicznego UW. Powstaje pytanie, czy ten stan prawno-kościelny uległ zmianie po wydaniu powyższej uchwały?

Ze względu na to, że Wydział Teologiczny na UW był instytucją kościelno-państwową, to zmiany istotne w strukturze Wydziału mogłyby nastąpić za obopólną zgodą władz, to jest państwowych i kościelnych. W wypadku, gdyby dokonane zostały jednostronnie, to instytucja zmieniłaby charakter prawny. Przestałaby być instytucją kościelno-państwową, a stałaby się wyłącznie państwową, gdyby zmiany poczynione zostały przez władze świeckie i odwrotnie. Zaznaczyć należy, że z punktu widzenia prawa kanonicznego kompetentna do poczynienia zmian istotnych jest wyłącznie Stolica Apostolska (kan. 1376).

Nie ma obustronnego porozumienia w sprawie zmian stanu prawnego Wydziału Teologicznego w Warszawie. Inicjatywa wyodrębnienia Wydziału z uniwersytetu i usamodzielnienia go pochodzi wyłącznie od władz państwowych i nie była uzgadniana z kompetentnym czynnikiem kościelnym. Odpada tu zmiana w stanie prawnym Wydziału dokonana za obopólną zgodą. Pozostaje kwestia zmiany jednostronnej. dokonanej czy to przez władze kościelne, czy państwowe. Jeśli chodzi o Kościół odpada ta ewentualność, gdyż władza kościelna nie wystąpiła tutaj z wnioskiem i nie wprowa-

(Dokończenie na str. 6)

[1]) Komisja organizacyjna miała wypełnić nałożone na nią zadanie do końca września ub. r. Komisja statutowa — do końca października ub. r. Ze względu jednak na konieczność wcześniejszego przedłożenia statutu Episkopatowi Polski do przejrzenia i zatwierdzenia, Komisja wykonała poruczone jej zlecenie na dzień 30 września 1954 r.

[2]) Na korzyść Akademii można by zanotować fakt ustawowego potwierdzenia przez Radę Ministrów przywileju udzielonego poprzednio ustnie Warszawskiemu Wydziałowi Teologii o nadawaniu stopni akademickich magistra i doktora, a tym samy wyjęciu z ustawy o szkolnictwie wyższym z dnia 15 grudnia 1951 r.

Uchwała Rady Ministrów z dnia 2.VIII. 1954 r. Nr 517/54 postanawia: „Uzyskiwanie stopni magistra i doktora oraz nadawanie tytułu profesora zwyczajnego i profesora nadzwyczajnego i docenta Akademii Teologicznej regulują przepisy obowiązujące w tym przedmiocie na Wydziałach Teologii Katolickiej w dniu wejścia w życie niniejszej uchwały oraz przepisy prawa kanonicznego".

Przepis powyższy zamieszczony został także w Statucie Akademii w § 6.

[3]) W uroczystości, którą rozpoczęła Msza św. odprawiona przez J. E. Ks. Bpa W. Majewskiego, wzięły udział czynniki państwowe i kościelne. Stronę kościelną reprezentował Ks. Bp Majewski, a stronę państwową — dyr. Jan Lech, przedstawiciel Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego oraz dyr. Józef Siemek, przedstawiciel Urzędu do Spraw Wyznań.

W otwarciu, poza gronem profesorskim Wydziałów Teologicznych, Warszawskiego i Jagiellońskiego, wzięli udział studenci i liczni goście z całej Polski.

Uniwersytet Warszawski reprezentował prof. dr Stanisław Turski, Rektor UW, Uniwersytet Jagielloński — prof. dr Kazimierz Lepszy, prorektor UJ, Katolicki Uniwersytet Lubelski — ks. prof. dr Bolesław Radomski, Dziekan Wydziału Teologicznego KUL.

KS. BOGDAN BOLZ

Podręcznik łaciny kościelnej

OKREŚLENIE łacina kościelna ma zakres bardzo szeroki. Obejmuje ono prosty **sermo rusticus** starych tłumaczeń Pisma św. i Wulgaty, skomplikowany **cursus Romanus** oracji leonińskich i gregoriańskich, dźwięczną asonancję średniowiecznej poezji i kunsztowny **cursus rythmicus** kancelarii papieskiej. Mieszczą się w nim zarówno proza Tertuliana, Leona Wielkiego, Tomasza z Akwinu, jak i ogromna spuścizna poetycka od Ambrożego poprzez Adama, od św. Wiktora do nowego tłumaczenia Psalmów z r. 1945.

Znajomość tego działu języka łacińskiego w naszym społeczeństwie ogranicza się do niewielkiego grona specjalistów, toteż wydany przez PAX „Podręcznik" *) podjął wielką próbę wypełnienia dotkliwej luki w naszym piśmiennictwie filologicznym. W przeciwieństwie do analogicznych wydawnictw zagranicznych (np. Verdunoy, Ries, Nunn) nie ogranicza się on do podania tylko wstępnych wiadomości z fleksji, lecz przedstawia całokształt elementarnej nauki języka łacińskiego.

„Celem tego podręcznika — pisze autorka — jest umożliwienie nauki łaciny liturgicznej tym wszystkim, którzy nie znają wcale języka łacińskiego". Choć autorka nie mówi tego wyraźnie, to jednak wnioskując z wysokości nakładu i sposobu ujęcia „Podręcznika" można przypuszczać, że zwraca się z tą książką nie tylko do zainteresowanych liturgią ludzi świeckich, lecz przede wszystkim do alumnów Seminariów Duchownych.

Praktycznie biorąc, młodzież opuszczająca licea ogólnokształcące wykazuje tak słabą znajomość języka łacińskiego, że jego naukę w Seminariach Duchownych trzeba zaczynać od podstaw i kontynuować przez dwa lata intensywnego studium, by umożliwić alumnom zrozumienie mszału, brewiarza i Kodeksu Prawa Kanonicznego. Dotychczas w tej nauce łaciny trzeba było korzystać tylko z tekstów używanych w liceach ogólnokształcących, opartych wyłącznie na łacinie klasycznej. Przejście do łaciny kościelnej improwizował sam uczący, ale brak w tym pewnego systematyzmu pozostawiał często w umyśle ucznia wrażenie, że łacina kościelna to właściwie ta sama łacina klasyczna — tylko upstrzona błędami gramatycznymi. Także wielu inteligentów świeckich miało wyobrażenie, dawno przełamane w świecie naukowym, że poprawną łaciną jest tylko język Cicerona, Cezara i Wergiliusza. Wielką więc zasługą autorki jest praktyczne spopularyzowanie tezy, że poza ciasnym kręgiem klasycznego języka łacińskiego, znanego ze szkolnej gramatyki opisowej, rozciąga się rozległe pole innej, niemniej jednak pięknej i żywotnej łaciny kościelnej.

„Podręcznik" składa się z czterech głównych części: tekstów łacińskich i polskich, obszernych preparacji leksykalnych i gramatycznych, słowniczka łacińsko-polskiego i polsko-łacińskiego oraz krótkiego zestawienia gramatycznego.

Teksty łacińskie pochodzą przeważnie z mszału i brewiarza, część także z rytuału i rubryk liturgicznych. Umiejętny ich dobór, od najłatwiejszych do coraz trudniejszych, umożliwił autorce jasne i dokładne zilustrowanie narastającego materiału gramatycznego. Początkowe lekcje zawierają teksty nieco przystosowane do skąpego jeszcze materiału gramatycznego, dalsze składają się już niemal wyłącznie z dosłownych cytatów liturgicznych. Nie zaczerpnęła ich autorka z żadnych utartych schematów, lecz — jak się tego można domyślać — z osobistych, długoletnich medytacji nad mszałem i brewiarzem, medytacji filologa, który do głębokiej treści przedziera się przez barwny gąszcz pięknej formy.

Nie można też wysuwać żadnych zastrzeżeń przeciwko inicjatywie autorki, nawracającej do przekładów z języka polskiego na łacinę, gdyż jest to najpewniejsza droga do gruntownego zrozumienia i opanowania łacińskiej gramatyki. Pożądane byłoby natomiast, by w następnych wydaniach autorka uwzględniła nie tylko teksty liturgiczne, ale sięgnęła także do doktrynalnych i prawnych dokumentów kościelnych. Zwłaszcza w „Wypisach" (strony 93 i in.) można by bez żadnego uszczerbku pominąć psalmy, a litanie ograniczyć do charakterystycznej „Litaniae Sanctorum", gdyż te teksty łatwo znaleźć w każdym brewiarzu. Na ich miejscu zaś można by umieścić np. urywki z „Epistola Apostolica" Piusa XI: „De seminariis et studiis clericorum", 1922, Motu Proprio Piusa XI „De peculiari litterarum latinarum schola in Athenaeo Gregoriano instituenda" z 20. X. 1924, wyrażające oficjalne stanowisko Stolicy Apostolskiej w sprawie nauki języka łacińskiego, oraz niektóre kanony z Kodeksu Prawa Kanonicznego.

Życzenia te są oczywiście tylko propozycjami, które nasunęły się recenzentowi. Wyboru takiego można równie dobrze dokonać z innych tekstów. Chodzi jednak o to, by zachowując dotychczasowy rozmiar „Podręcznika", nie zacieśniać jego ram wyłącznie do łaciny liturgicznej, lecz zgodnie z tytułem omówić także inne formy łaciny kościelnej.

Za bardzo szczęśliwą myśl trzeba uznać przyjęcie za punkt wyjścia łaciny klasycznej, gdyż dzięki temu uczący się nawiązują do pojęć i elementów, z którymi zapoznawali się w czasie nauki licealnej. Zresztą we współczesnej łacinie kościelnej zaznacza się wyraźny nawrót do wzorów klasycznych. Za pełoficjalny wyraz tych tendencji można uważać nowy kwartalnik „Latinitas", wydawany w Watykanie, oficjalnym zaś ich wyrazem jest forma ostatnich encyklik papieskich i nowe tłumaczenie Psałterza.

Metodyczna strona „Podręcznika" stawia niemałe wymagania wobec ucznia, zmuszonego do systematycznego przygotowywania mało dla siebie znanego materiału. Nie będzie jednak przesadą przypuszczenie, że po dokładnym przerobieniu „Podręcznika" uczeń potrafi sobie poradzić z każdym, choćby najtrudniejszym, tekstem liturgicznym. Teksty i rozmówki pozwalają zebrać bogaty materiał leksykalny (z górą 2 600 słówek), a obszerne wyjaśnienia gramatyczne umożliwiają wniknięcie w strukturę języka i oswojenie się z jego używaniem. Autorka dość szybko zaznajamia ucznia nie tylko ze zjawiskami fleksji, ale zgodnie z zasadą, że wyrazy mają swój sens tylko w zdaniu, od początku wprowadza go w elementy łacińskiej składni. Częste powracanie do omawianych już zagadnień gramatycznych, zarówno w ćwiczeniach, złączonych z czytankami, jak i w preparacjach pozwala uczącym się spoglądać w coraz to innym świetle na znane już prawidła i udziela pewności we właściwym ich stosowaniu. Schemat wiadomości gramatycznych nie odbiega zasadniczo od wypróbowanego już doświadczeniem układu podręczników licealnych.

Pod względem technicznym największą trudność przy składaniu tekstów łacińskich stanowi znakowanie iloczasu samogłosek. W podręcznikach szkolnych oznacza się zwykle tak samogłoski długie jak i krótkie. W słownikach natomiast (np. Stowassera czy Kruczkiewicza) spotykamy znakowanie tylko przy samogłoskach z natury długich. Autorka poszła inną drogą, ograniczając się do zaznaczania iloczasu tylko samogłosek z natury krótkich w tych wyrazach, które mają więcej niż dwie zgłoski. Choć ta metoda będzie wymagała pewnego odzwyczajenia się od dotychczasowego sposobu oznaczania iloczasu, wydaje się ona słuszna i całkowicie zgodna z polskim poczuciem językowym. Dla ucznia bowiem, oswojonego z akcentowaniem na drugiej zgłosce od końca wyrazów polskich, główną trudność stanowi odmienny sposób akcentowania niektórych wyrazów łacińskich. Tę trudność rozwiązuje proponowany przez autorkę system, który ma jeszcze tę zaletę, że ułatwia prace nad składaniem tekstu w drukarni.

„Podręcznik" ma ogromne walory dydaktyczne i należy uważać go za niezbędny dla Seminariów Duchownych, a za bardzo pożyteczny dla każdego, kto chce się wgłębić w język mszału czy brewiarza.

„Podręcznik" stanowi chlubny dokument zasięgu zainteresowań filologów w Polsce Ludowej i jako pozycja bibliograficzna może je godnie reprezentować nawet wobec katolików za granicą.

Autorce należy się podziękowanie za opracowanie tego wartościowego podręcznika, a wydawnictwu „Pax" — za dostarczenie go młodzieży duchownej i miłującym piękno liturgii Kościoła — katolikom świeckim.

Ks. Bogdan Bolz

*) Leokadia Małunowicz, Podręcznik Łaciny Kościelnej. Pax, Warszawa. 1954, str. 384.

GRACJAN KOZŁOWSKI

rys. ROMAN MADEYSKI

SKLEP Z LUSTRAMI

...OBAWIAM się, że pan się zawiedzie. Moje życie nie było wcale takie znów ciekawe. No, ale jeśli pan chce... Tylko jeszcze jedna prośba przedtem... Żeby pan nie podawał mego nazwiska... Czy się wstydzę? Bo ja wiem, już teraz chyba nie. Bądź co bądź, mimo wszystko, znalazłem swoje miejsce w społeczeństwie, ale, jakby panu powiedzieć, stare przyzwyczajenie... Jako niezbyt udany stwór natury lękałem się spojrzeń ludzkich. Ludzkiego gadania! Zresztą to chyba jasne, prawda? Uczucie to się nazywa — już teraz to wiem — kompleks niższości. I wie pan, żeby mnie kto dziś zapytał, co jest gorsze, co więcej boli, ludzka złośliwość czy litość — to naprawdę nie wiedziałbym, jak odpowiedzieć. Chociaż, Bogiem a prawdą, krzywdy zaznałam więcej niż tej litości. Pierwsza krzywda była od ojca... Pan się dziwi? Tak, pierwszym człowiekiem na świecie, który zrobił mnie na szaro, był właśnie mój tata! Niech pan nie myśli, że to głupi żart. To prawda.

Ja urodziłem się w dwudziestym trzecim. Ojciec przetaczał wagony, a matka niby to szyła. Ale z tego szycia dla obcych nic nie wychodziło, bo było do obszycia pięcioro dzieci i ojciec... Niech pan sobie wyobrazi, że w tym samym dniu, kiedy ja przyszedłem na świat, ojca wywalili z roboty. Zwyczajnie, wypłacili mu tygodniówkę i do widzenia! Nawet w żadnym strajku nie brał udziału, powiedział tylko w pokoju zawiadowcy, że w d... ma cały rząd z Witosem na czele, jeśli tyra cały dzień, a w domu nie ma co żryć... Czy coś w tym rodzaju. Więc się z nim nie patyczkowali. Ojciec wpadł w taką złość, że poszedł z kolegami do knajpy i tę całą tygodniówkę przepił. Kiedy na pół przytomny przyszedł do domu, ja już czekałem na niego. No i wtedy... Mnie to opowiadała przed śmiercią matka. Wtedy najprzód wypędził Pieciakową, która pomogła matce w uwolnieniu się ode mnie, potem zaczął wrzeszczeć, że nas wszystkich pozabija, a wreszcie chwycił mnie razem ze szmatami, w które byłem zawinięty, i cisnął o ziemię... Matka, sama ledwo żywa, nie mogła się ruszać, więc tylko krzyczała: „O Jezu! Ludzie! Ludzie!" Przyleciała gospodyni z mężem. Podnieśli mnie — oczywiście żyłem, jak pan widzi... A ojciec widać coś niecoś oprzytomniał, prysnął w drzwi i tyle go widzieli. Zwyczajnie przestraszył się. I to zniknął tak dokładnie, że go zobaczyłem pierwszy raz jakieś piętnaście lat później. Ale o tym potem... Czy nienawidziłem ojca? Jako kilkuletni, a potem starszy pętak byłem na to za głupi. Mnie, wie pan, nawet wszyscy uważali za głuptaka. Bo przy tym całym interesie... miałem minę wiecznie przerażoną. Za dużo było dokoła mnie wrogów. Bracia dawali mnie w kość, ile wlazło, matka, choć użalała się nade mną, też się za bardzo nie cackała i nie miała kiedy. Jedna tylko Basia, znaczy: moja siostra, chyba mnie lubiła, nie dawała krzywdzić, zawsze to i owo podetknęła do zjedzenia... Basia była dobra... Ale ona pierwsza wyszła z domu. Jak miała czternaście lat, poszła na służbę do jednego przodownika policji. Kiedy pani przodownikowa wyjechała na wieś, pan władza zrobił Basi dziecko. Co się z tym dzieckiem stało, nie wiem, dość, że Basia zamieszkała u koleżanki na Sofianikach. No, pan jest z tego miasta, co i ja, to pan wie, co to były Sofianiki... Najstarszy brat, Kazik, umarł na jakieś wrzody... Drugi, Stefek, bawił się raz z chłopakami w chowanego i wlazł do wiadra na sznurze w studni. Sznur się urwał i dopiero na drugi dzień wyciągnęli go bosakami... Maniek od młodości sprzedawał gazety i pomagał matce, ale mnie też nie lubił: „Ty — mówił — Janek, niepotrzebnie żyjesz na świecie. Wlazłbyś lepiej do studni, tak jak Stefan!" Niewiele brakowało, a posłuchałbym jego rady. Jeśli chodzi o Antka, mego czwartego brata, to jak tylko trochę podrósł, to po prostu wyniósł się z domu. Wziął raz od matki wszystkie pieniądze i znikł. Potem się okazało, że ciągnęło go do ojca. Wywąchał, bestia, gdzie stary się obraca i cześć. Matka natomiast wcale nie tęskniła za ojcem, rzadko go wspominała, zresztą żyła z Pieciakiem, gospodarzem domu, w którym mieszkaliśmy. To się tak mówi — gospodarz domu! Jaki to był dom! To była taka chata na ulicy Słomiance. Wie pan, od Kalwaryjskiej w lewo? Tam były dwa pokoje i kuchnia. W jednym mieszkaliśmy my, w drugim Pieciakowie, a kuchnia wspólna. Była tam wilgoć, dach — szczególnie po naszej stronie — przeciekał. Pieciak zawsze przyglądał się naszej matce tak, jak to chłop potrafi przyglądać się zdrowej, postawnej kobiecie, kiedy jego własna żona jest chora i do niczego... No, a jak w rok po zniknięciu mego ojca zmarło się Pieciakowej, to sprawa była jasna. Albo wont z mieszkania, albo być u niego za gospodynię i co tam jeszcze trzeba... Nie kochała matka tego dorożkarza, o nie kochała. Widział to i Maniek, widziałem i ja... Więcej, jak to się mówi, było u nich złości niż miłości. Ale co miała robić? Z dwojgiem dzieci, z których jedno w dodatku... No, tak... Na mnie Pieciak zawsze krzywym okiem patrzał. Ganiał mnie i nieraz trzepnął zdrowo. Ale swój honor widać miał, bo i Mańka, i mnie zapisał do powszechniaka... Maniek pochodził parę lat i urwał się. Gdzie mu tam nauka była w głowie. A dozoru w szkole też wiele nie było. Mnie nauka bardzo się podobała, choć nie szła łatwo. Ale mnie też nie było sądzone długo się uczyć. Już pan domyśla się dlaczego... Tak, tak, koleżkowie kochani... Ja już nie mówię o różnych przezwiskach, licho ich bierz. Ale dranie robili mi takie różne kawały, że dzień w dzień płacząc szedłem do domu. A w domu wsiadał na mnie Pieciak. I tak w kółko. Mańka Pieciak jakoś lubił, bo chłopak był cwany, jak rzadko. Więc i szkołę mu darował. „Na co mu — powiada — szkoła. Da sobie radę w życiu i bez szkoły. Ja czytać nie umiem, a żyję jakoś". Co do mnie, uważał, że właśnie powinienem chodzić do szkoły. Jak mnie się zdaje, po prostu dlatego, żeby mnie rzadziej mieć przed oczami. Więc chodziłem, nauczyłem się czytać i pisać, rachunków, trochę geografii.

Najciekawsze, że nie tylko koledzy dawali mi się w szkole we znaki, ale i nauczyciele. A najgorsza świnia to był gimnastyk. Podoficer rezerwy. Kazał sobie mówić — panie sierżancie. Był wiecznie pod gazem i zmuszał mnie do robienia ćwiczeń razem z klasą. A potem rechotał wraz z chłopakami, kiedy mi się nie udawało. „Masz u mnie dwóję do końca życia, wielbłądzie jeden!" — wołał i kazał mi się wynosić z sali. Ale nie wszyscy byli tacy. Nie wszyscy. Był u nas młody katecheta, wikary od świętego Rafała. Nieduży, taki rumiany i bardzo cichy. Nie krzyczał nigdy na lekcji, ale nie wiadomo dlaczego wszyscy się go bali. A wie pan, kto się go nie bał? Właśnie ja — „wielbłąd". Zatrzymywał mnie nieraz na korytarzu i swym cichym głosem wypytywał o moje życie, o warunki domowe. Kiedy mu opowiadałem, zagryzał wargi i marszczył brwi. Często dawał mi chleb z wędliną, a ja nawet nie dziękowałem mu, tylko od razu brałem się do jedzenia. Ten ksiądz nazywał się Toporko. Wspominam o nim nie tylko dlatego, że był dla mnie dobry. Prawdę powiedziawszy, od niego dowiedziałem się o Bogu. I miał widać ksiądz Toporko jakąś wielką siłę w sobie, że widzi pan, do dziś Kościół nie jest dla mnie tylko budynkiem. Ale to już, proszę pana, całkiem inna sprawa... Ale na ogół wiodło mi się w tej szkole parszywie, byłem ciągle zahukany i wystraszony, nie mogłem skupić uwagi, walili mnie dwóje, w szóstym oddziale siedziałem dwa lata. W drugim roku byłem tylko do półrocza i skończyła się moja nauka. Dlaczego? Zwyczajnie. Dokuczał mnie tam szczególnie jeden dryblas. Czego on ze mną nie wyrabiał. Konno na mnie jeździł — kiedyś tam nie wytrzymałem, doprowadzony do szału, rzuciłem się na niego i pogryzłem go. Jak oszalały zwierzak... Zmasakrowałem go strasznie, nawet pół ucha mu odgryzłem. Do matki przyszła delegacja z komitetu rodzicielskiego, że niby co za potwora wychowuje. Kiedy przyszedł Pieciak, zbił mnie tak strasznie, że dziś, kiedy to lanie sobie przypomnę, bolą mnie wszystkie kości. Miałem wtedy lat czternaście... Ale byłem cherlawy i dość słaby. Zbity jak pies leżałem na podwórzu, a Pieciak powiedział: „A teraz wont, ty padlino, z mego domu. Jak wejdziesz, zabiję!" Nie wszedłem. Parę dni przesiedziałem w stajni, tam matka opatrywała moje rany i dawała mi jeść. Matka była niezłą kobietą, ale nie miała swojej woli. Przedtem bała się ojca, teraz Pieciaka. Mówiła mnie: „Cóż ja tobie poradzę, biedaku? Poproś Mańka, może te gazety będziesz sprzedawać, albo idź do Basi". I płakała nade mną... Ach, panie, jak wspominam to wszystko, i jak pomyślę, kim jednak dzisiaj jestem, to tamte czasy wydają się jakimś cholernym snem...

TRZECIEGO dnia, kiedy już jako tako mogłem stanąć na nogi, przyszła akurat, lekka na wspomnienie, Basia. Ona tak co pół roku do nas przychodziła, to przyniosła matce trochę pieniędzy, to jakiegoś jadła. Ubierała się nienajgorzej, tylko twarz jej była taka jakaś smutna i zmęczona. A z oczu jej wyzierała taka żałość, że nawet ja rozumiałem, że nie za dobrze jej się dzieje. Basia użaliła się nade mną i powiedziała, że mnie skombinuje pracę i to z mieszkaniem. Pieniędzy tam nie dostanę, ale będzie wikt i łóżko. Dobre było i to — myślałem — aby dalej od Pieciaka. A skąd mogłem wtedy wiedzieć, że jak to się mówi, z deszczu pod rynnę wpadnę. Nie wiedziałem, a wyjścia innego nie było... Chociaż, z drugiej strony, trudno powiedzieć, że moja praca w sklepie nic mi nie dała... Owszem, była i korzyść z tej męki. Bo widzi pan, mnie się wydaje, że z każdej ludzkiej męki i cierpienia jest zawsze jakaś korzyść... Jak nie dla siebie, to dla innych, ale jest. Bo weźmy na przykład Kolasińską... Jakże ona strasznie się męczyła, a przecie... Ale, ale, pan jeszcze nie wie, kto to była Kolasińska. No, to ja panu wszystko po kolei...

Wiosną 1937 roku zacząłem pracować w sklepie Ignacego Kolasińskiego. To był znajomy Basi. Kolasiński miał na Kalwaryjskiej dość duży interes. Tam sprzedawało się przede wszystkim lustra, różnych rodzajów i fasonów. Ale mógł pan u niego kupić i różne klosze, wyroby szklane i jeszcze tam różności. Za sklepem był pokoiczek bez okna, gdzie leżał towar i gdzie ja spałem. A nad sklepem, na pierwszym piętrze było mieszkanie Kolasińskich. Mieszkanie było trzypokojowe, duże i ładne. Jeden pokój zajmował sam Kolasiński, w drugim było coś w rodzaju saloniku dla gości, a w trzecim pokoju umierała od dwóch lat Kolasińska. Wreszcie w kuchni, w takiej wnęce, gnieździła się głucha Józefowa, ich stara służąca. Kolasiński bywał w tym całym mieszkaniu bardzo rzadkim gościem. Tylko nocował i to nie zawsze. W dzień siedział w sklepie, albo (dopóki był subiekt, który uciekł od swego szefa na parę dni przed moim przybyciem) szedł na miasto załatwiać swoje sprawy. No, tak. Kolasińskiego nie zapomnę do końca życia... Średniego wzrostu, łysawy, dość tęgi, w okularach. Ruchy miał jakby zwolnione. Mówił dużo, ale też nie szybko, jakby namyślając się. A najciekawsze, że jak mówił, to przymykał oczy... Kiedy wszedłem do sklepu, siedział za ladą. Spojrzał na mnie spod okularów i coś pisał dalej. Podałem mu kartkę od Basi. Wtedy wstał i podszedł do mnie. Zaczął mówić: „Ach, mój Boże, więc to ty jesteś bratem tej nieszczęśliwej dziewczyny. Jakże ciężko doświadczył was Pan Bóg. Słyszałem, słyszałem o waszej rodzinie. Ale Bóg jest litościwy, choć surowy, i cieszę się, że ja, Jego skromny sługa, mogę wam w czymś pomóc..." I tak dalej — w tym stylu. Trwało to długo i zrozumiałem, że pan Kolasiński musi być bardzo pobożny i litościwy. W ogóle miałem okazję wiele rzeczy zrozumieć. Byłem bardzo przejęty tym wstępem. Pan Kolasiński powiedział mi dalej, co będę musiał robić. A no, sprzątać, zamykać i otwierać sklep, odwozić albo odnosić zamówienia, wycierać lustra z kurzu itd. W komórce za sklepem znalazł się dla mnie siennik i jakaś derka. To było zawsze lepiej niż w stajni pana Pieciaka. Pan Kolasiński był w tym pierwszym dniu bardzo zajęty, tak że nawet nie wydał głuchej Józefowej polecenia, żeby mnie dała coś zjeść, ale że nieraz już w życiu szedłem spać bez kolacji — więc to mnie wcale nie zdziwiło. Natomiast choć szło ku wiośnie, strasznie było zimno spać. Ale rozgrzany wrażeniami dnia jakoś tam zasnąłem. Za to nazajutrz, kiedy wstałem z mego legowiska, dostałem od Józefowej duży kubek kawy i dwie porcje chleba ze smalcem. To była, proszę pana, uczta nie lada. No i po tym śniadaniu zabrałem się do roboty. Oprócz obrządzania sklepu nosiłem węgiel z piwnicy, rąbałem drewka pod piec, bo Józefowa nie miała do tego siły. Na brak zajęcia nie mogłem narzekać, choć z moimi własnymi siłami też nie było najlepiej. Deski, którymi na noc zastawiało się okna od ulicy, były diablo ciężkie, ale jakoś dawałem sobie z nimi radę. Punkt o dziewiątej zjawiał się pan Kolasiński (ja wstawałem o szóstej) z podręczną kasą, w której były pieniądze i rachunki. Między dziewiątą i dziesiątą kupujących nie było, więc pan Kolasiński wtajemniczał mnie w różne sklepowe historie: „Mimo swego upośledzenia, które traktować należy jako dopust Boży, wydajesz mi się, biedny chłopcze, na tyle inteligentny, żeby zrozumieć, jak dużą wartość przedstawia, ot, chociażby to tremo, które w tej chwili wycierasz. Zwróć uwagę na jego piękny szlif boczny, zwany fazą, albo na nieskazitelność samej tafli lustrzanej. Nie muszę ci chyba mówić, że gdybyś rozbił to lustro, musiałbym wyciągnąć z tego faktu jak najdalej posunięte konsekwencje..." Bardzo mądrze i uczenie mówił pan Kolasiński i choć byłem u niego prawie dwa lata, nie umiem tak dobierać słów. Natomiast bardzo skutecznie mój szef stosował metodę ciągłego przypominania mnie o moim rzeczywiście nieszczególnym wyglądzie. No, a poza tym dużą pomoc oddawały mu w tym jego lustra. W tej całej „nieskazitelnej tafli lustrzanej" odbijałem się znakomicie. Jak pan się domyśla, działało to cudownie na moje samopoczucie. I tym ostrzej występowała szlachetność i wielkoduszność pana Kolasińskiego, który nie zawahał się podać mnie swej pomocnej dłoni. Tak, tak, przecie traktował mnie bez mała jak członka rodziny. Nawet kiedyś to powiedział: „Mój drogi Janku — mówi — tak się złożyło, że jestem jakby twoim opiekunem. Gdyby tu kto pytał, mów zawsze, że należysz do rodziny, że jesteś moim krewnym. Nie będzie w tym żadnego kłamstwa, bo przecież wszyscy jesteśmy braćmi w Chrystusie. A Bóg widzi, ile robię dla ciebie zupełnie bezinteresownie". Kiedy pewnego dnia stłukłem jedno niewielkie lustro, nasze rodzinne stosunki jeszcze bardziej się zacieśniły. Pan Kolasiński miał bardzo strapioną minę, kiedy mi powiedział: „Pan Bóg świadkiem, że nie chciałbym cię skrzywdzić nawet słowem, a cóż dopiero czynem. Ale poniosłem przez ciebie stratę i musisz ponieść karę. Jutro nie dostaniesz przez cały dzień posiłku. A teraz chodź ze mną". To było już po zamknięciu sklepu. Zaprowadził mnie do mojej komórki. Ukląkł i kazał mnie uklęknąć obok siebie, a potem powtarzałem za nim jakąś modlitwę. Potem powiedział, że z ogromną przykrością musi mnie po ojcowsku skarcić. Prosił, żebym nie rozumiał tego źle i nie utrudniał mu jego ciężkiego zadania. Wziął jakiś pas i kazał mi się położyć. Usłuchałem, może dlatego, że to wszystko było jakieś takie niezwykłe. Wyłoił mnie tym pasem, co się zmieści. Kiedy się zmęczył, przestał. A najdziwniejsze, że po wszystkim prosił mnie o wybaczenie. Tu muszę panu powiedzieć, że jeszcze nieraz tak po ojcowsku się ze mną rozprawiał i zawsze z Bogiem na ustach. Bałem się Kolasińskiego okropnie. On to mnie ukazywał całą moją nicość, on dał schronienie i chleb mojej nikczemnej osobie. On modlił się do Boga, żebym był coraz lepszy, żebym dbał o sklep. Kiedy szedłem do kościoła, nie umiałem sklecić dwóch słów w mojej modlitwie. Kolasiński na każdą okoliczność miał odpowiednią modlitwę. Wyglądało, że za każdym razem naradza się z Panem Bogiem, jak ma postąpić.

Takim trybem szło wszystko, aż nadszedł dzień, w którym Kolasiński uznał, że do moich licznych obowiązków może dołączyć jeszcze jeden — najwyższy. Oto miałem teraz być również i subiektem. Szef zostawiał mnie w sklepie, sam sprzedawałem i przyjmowałem zamówienia. O mojej uczciwości wiedział od dawna. Sprawy sklepu znałem jak swoją podartą kieszeń. Ale nie, teraz już nie była podarta. Szef kupił mi ubranie, które wprawdzie było bez dziur, ale wisiało na mnie jak worek. Bo i nie mogło być inaczej.

No i tak... Był rok trzydziesty dziewiąty. Na świecie działy się, jak pan pamięta, różne rzeczy, ale u nas w sklepie nic się nie zmieniło. Może obroty trochę zmalały, ale gotówka szła i nadal do szkatułki pana Kolasińskiego, a co on z nią robił, nie wiedziałem, bo jedzenie, które dostawałem, było zawsze marne. A głucha Józefowa narzekała, że nie ma co dla pani gotować. O pani wiedziałem, że od dawna choruje, ale co jej było, nic mi nie mówiono.

Któregoś dnia do sklepu przyszła Basia. Ledwo ją poznałem, tak się postarzała, nędznie ubrana, zabiedzona. Najpierw spytała, jak mi tu idzie. Opowiedziałem. Potem pomyślała chwilę i znowu: „A czy bije ciebie?" Zdziwiłem się i mówię, że teraz już nie, ale dawniej to bił. „I kazał modlić się przedtem?" Jeszcze więcej się zdziwiłem. „Skąd — mówię — wiesz o tym?" „Oj, wiem, wiem, bo go aż za dobrze znam... Tak dobrze znam, że lepiej już chyba nie można!" „Co ty gadasz? — wrzasnąłem — on jest bardzo pobożny!" „Pobożny — powtórzyła Basia z dziwnym śmiechem — może i pobożny... Ale dziś muszę z nim pogadać. Było nie było!" Nie wiedziałam, o czym ma z Kolasińskim gadać, ale po jej oczach widać było, że niedobra to będzie rozmowa. No i poza tym nie mogłem zrozumieć, co ich tam ze sobą łączy. No, bo co za sprawy mogła mieć Basia z panem Kolasińskim. Kiedy szef wszedł, Basia od razu do niego: „Nie mogłam się pana doczekać, niechże pan da trochę pieniędzy". Widzę, że Kolasiński zbladł, spojrzał na mnie i bardzo spokojnie, aż za spokojnie mówi do mojej siostry: „Na miłość boską, proszę stąd wyjść!" „Nie wyjdę — krzyczy Basia — płacić i już!" „Boże, co tu się dzieje — zawołał Kolasiński — jacyż ludzie są natrętni! Powiedziałem, proszę wyjść! Ja... sam przyjdę..." „Nie wierzę, nie wierzę! Mnie już wszystko jedno. Pójdę do pańskiej żony i powiem jej, rozumie pan, wszystko powiem. I Janek niech dowie się — krzyczała Basia na cały sklep — niech dowie się, że dobry pan Kolasiński nie chce dawać pieniędzy na własne dziecko"... Myślałem, że Kolasińskiego trafi szlag. Zupełnie zzieleniał na twarzy, zaczął się trząść, potem szybko sięgnął do portfelu, wyjął coś ze dwadzieścia złotych, wsunął je Basi, wołając: „milczeć, milczeć i wynosić się. Ja tam jutro przyjdę, już, już, do widzenia". Wypchnął ją za drzwi, potem ciężko usiadł i otarł czoło z potu. Ja stałem jak skamieniały. Zaczynałem pojmować to i owo, ale Kolasiński jakby przypomniał sobie o mnie. „Widzisz, mój Janku, jak to źli ludzie rozzuchwalają się. Wspomogłem kiedyś twoją siostrę, to zdaje się jej, że już zawsze muszę dawać jej pieniądze... Źli ludzie... Źli ludzie..." Wtedy ja odważyłem się przemówić: „Ale ona mówiła o jakimś dziecku". Kolasiński zerwał się jak jakiś zwierz. „Dziecko, dziecko. Jakie dziecko! Co ty wygadujesz! Twoja siostra jest zwykłą szantażystka, rozumiesz? Takich ludzi oddaje się pod sąd! Pod sąd! Ale moja dobroć na to nie pozwala. Bóg nie wybaczyłby mi tego! A ja chcę być z Bogiem w zgodzie. Z Bogiem i z moim sumieniem! Czyste sumienie — oto co jest w życiu najważniejsze!" Nic się już nie odzywałem, ale zacząłem kombinować, że Basia bez przyczyny nie przyszłaby do sklepu. Pan zresztą domyśla się, jak sprawy stały. Ja wtedy tak mało znałem się na życiu. Myślałem tylko sobie, że pan Kolasiński mimo całej swej pobożności faktycznie ma w sobie coś ze złego ducha. Tak i było.

Po tej dziwnej wizycie tyle się u mnie zmieniło, że na drugi dzień szef powiedział, że będzie mi od czasu do czasu płacił, ponieważ nie jestem już dzieckiem i mogę mieć swoje potrzeby. Postanowił mi dawać aż piętnaście złotych miesięcznie. No, cóż, dobre było i to. W każdym razie domyślałem się, że ta niezwykła u niego łaskawość miała jakiś związek z wczorajszą awanturą. Za pierwsze pieniądze kupiłem sobie buty, o jakich dawno marzyłem, kupiłem słodyczy, a potem poszedłem do księgarni, żeby kupić książki. Poprosiłem o coś ciekawego do czytania. A sprzedawca książek był widać nielichym figlarzem, bo wie pan co mi polecił? Nigdy pan nie zgadnie! Wiktora Hugo — „Dzwonnik z Notre Dame". Jak Boga kocham! To był dopiero kawał. Książka była gruba i z ilustracjami! Kiedy wieczorem przy świecy wziąłem się do czytanie, patrzę na pierwszy obrazek i jakby mnie kto w gębę trzasnął! Wypisz, wymaluj — taki sam, jak ja! Tylko może jeszcze gorszy. Ale zainteresowałem się losami Quasimoda i niejedną noc przepłakałem nad jego niedolą, choć trzeba przyznać, że połowy książki nie mogłem zrozumieć! Tam, wie pan, są takie długie opisy. Można powiedzieć, utrafił ten księgarz w sam cel! Ale jakby nie było, zapaliłem się do książek okropnie. Człowiek przynajmniej zapominał o swoim losie. Z tym czytaniem też mi szło nie bardzo. No, ale powoli nabierałem rozmachu. Najgorzej, że wielu słów w ogóle nie rozumiałem. Bo i skąd mogłem rozumieć?

NO tak... Ja tu o książkach, a właściwie miałem o czymś innym. Któregoś nocy zaczytuję się przy kupionej za własne pieniądze świecy, aż tu ktoś wali pięścią od tyłu do sklepu. Zrywam się, okazuje się, że to Józefowa. Czego chce? Żebym zaraz szedł na górę, bo z jej panią coś niedobrze. No, przyodziałem się jako tako i przychodzę. Nigdy nie widziałem pani Kolasińskiej, wiedziałem tylko, że choruje i z łóżka nie wstaje. Ale jak ją zobaczyłem, to zrobiło mi się nieswojo. Jej wychudła twarz była tak żółta jak woskowa świeca. A może nawet nie tylko żółta, ale i jakaś zielonkawa. Była straszna. Tylko oczy świeciły jej z tej żółtczyny. Ręce złożone na kołdrze — to były same kości powleczone żółtą skórą. Kiedy mnie zobaczyła, powiedziała nadspodziewanie silnym głosem: „Posiedź przy mnie, chłopcze, a Józefowa niech idzie po księdza. Myślę, że to już będzie koniec. Nie chcę zostać sama". Józefowa rzeczywiście wyszła, a ja nie wiedziałem, co z sobą zrobić. Stałem przed jej łóżkiem. Musiałem mieć niezbyt mądry wyraz twarzy, kiedy tak jej się przyglądałem. Powiedziała mi, żebym sobie usiadł. Widziałem po jej twarzy, że ją coś boli, bo się krzywiła i niespokojnie poruszała. Przez chwilę leżała przymknąwszy oczy, a potem zaczęła mnie wypytywać, co sądzę o jej mężu. Coś tam bąknąłem, wtedy ona: „Wiem sama, jaki on... Gdyby powiedzieć, że to zły człowiek, to by nie była prawda. On jest samym złem... Rozumiesz mnie? To on mnie wpędza do grobu... Ja mam trzydzieści sześć lat, z tego trzy ostatnie konam w tym łóżku... Przez niego... Solidny, uczciwy, religijny... Bardzo religijny... Od dziesięciu lat jestem jego żoną... Od dziesięciu lat..." Przerwała i wydało mi się, że śmieje się. To był, proszę pana, najstraszniejszy uśmiech, jaki widziałem w życiu... Zdjął mnie taki lęk, że chciałem uciekać. Ale nie wypadało. Musiałem siedzieć i patrzeć. Łatwo powiedzieć patrzeć, ale to była twarz żyjącego nieboszczyka. Zastanawiałem się właśnie, co to za choroba tak wyniszczyła tę kobietę, kiedy ona, jakby czytając moje myśli mówiła znowu: „Rak jest nieuleczalny, Janku, umiera się na niego latami... Co dzień, co noc, rano i wieczorem trzeba umierać na nowo... Ale czuję, że zbliża się mój koniec... Żegnaj, kochany Ignasiu, myślę, że jeszcze się spotkamy... Jeszcze ci podziękuję... za wszystko... za wszystko..." Traciła przytomność, wydawało się jej widocznie, że koło niej siedzi mąż. Trudno mi, wie pan, powtórzyć słowo w słowo, co mówiła, ale jedno to mi utkwiło w pamięci: „Szkoda, Ignasiu, że nie masz w swoim sklepie takiego niezwykłego lustra, w którym mógłbyś zobaczyć swoją duszę. Gdybyś ją zobaczył, nie potrafiłbyś żyć ani chwili dłużej... A ja kupię ci takie lustro na imieniny". I znów się śmiała. Teraz już wiedziałem, że jest nieprzytomna. Nagle podniosła się i krzyknęła: „Boże, mój Boże, jakże będziesz mógł mu odpuścić, przecież on wiedział, co czyni!" Potem znów spojrzała na mnie i rzekła: „Biedny Janku! Ani tobie, ani mnie niepotrzebne są lustra. Bez luster wiemy o sobie wszystko. To jemu są one potrzebne! Jemu! Lustro robiło mu dwieście złotych ze stu. Lustra uwielokrotniały jego pobożnie klęczącą postać... Lustra..."

I tak zanim Józefowa przyprowadziła księdza, od umierającej pani Kolasińskiej dowiedziałem się całej prawdy o jej mężu, o tym, jak nieludzko się z nią obchodził. Mnie też nie było u niego słodko, ale cóż ja... Tak to już się dotychczas składało, że jeśli ktoś mną się interesował, to robił to z łaski... Więc wydawało się, że i Kolasiński nie jest gorszy od innych... Tymczasem był gorszy... A najstraszniejsze w tym wszystkim było to, że udawał świętoszka. Czy pan uwierzy, że Kolasiński potrafił uklęknąć w pokoju żony i na głos prosić Boga, żeby zabrał ją do swej chwały, bo niby po cóż ma się męczyć... itd. Co za podlec, no pomyśl pan sam.

Kiedy ksiądz Toporko, bo jego to właśnie przyprowadziła Józefowa, wychodził od umierającej, miał oczy pełne łez... Niewielka widać z niej była grzesznica. Już prędzej pasowała na męczennicę. Ale kto to może wiedzieć, za co człowiek cierpi... Kolasińska nie umarła tej nocy. Jeszcze z miesiąc pomęczyła się i dopiero latem umarła.

JAKOŚ w parę dni po tej niezwykłej nocy, kiedy to dobrze pojąłem, co znaczy modlić się pod figurą i mieć diabła za skórą, siedziałem sam w sklepie. „Diabel" pobiegł załatwiać swe interesa. On teraz założył z kimś do spółki restaurację, więc miał za czym latać. Otóż siedzę sobie w sklepie, ale widzę przez okno, że na ulicy coś się dzieje. To przechodzą policjanci, to jacyś cywile gromadzą się na chod-

niku i o czymś rozprawiają. Co to może być? — myślałem sobie. Nasza ulica na ogół spokojna i od czasu, kiedy to były te, wie pan, pogromy żydowskie, nic się tu szczególnego nie działo. Nagle posłyszałem strzały. Strzelano tak jakby koło Lwowskiej. Potem rozległy się krzyki. W pewnej chwili ktoś szybko wszedł do sklepu. Był to młody, wysoki mężczyzna. Był bez kapelusza, w letnim płaszczu. Podszedł do lady, oparł się o nią. Potem spojrzał na mnie. „Czy może mnie pan ukryć?“ — powiedział tylko. Miał pobladłą, pokrytą kropelkami potu twarz. Ciężko dyszał. Ja, wie pan, z przyzwyczajenia pomyślałem sobie, co by na moim miejscu zrobił Kolasiński i postanowiłem na złość jemu pomóc nieznajomemu, który miał w oczach coś sympatycznego. Możeś ty zabił kogo, albo co, ale na zbrodniarza mi nie wyglądasz — pomyślałem. Wyłazłem zza lady i pokazałem mu nasze największe lustro, które było wmontowane w ścianę. Za lustrem, jak je odchylić, była nieduża szafa, takie po prostu wgłębienie. Facet raz dwa wlazł tam, wcisnął się jakoś... No i dobra. Nie przeszło pięć minut, a do sklepu wali dwóch policjantów z karabinami w ręku. „Szukamy — mówią — groźnego przestępcy. Wysoki blondyn. Schował się gdzieś w tej okolicy. Czy nie wchodził do sklepu?“ Wtedy ja: „Był, był tu! Ale zacząłem krzyczeć, to się wycofał“. I pokazałem przez okno, w którą stronę uciekł. Policjanci zaklęli brzydko. Ja jeszcze zdążyłem jednego z nich zapytać: „A co ten bandyta zrobił?“ „To, bracie, wywrotowiec, najgorszy drań! Ale my go jeszcze znajdziemy!“ I wyszli. Mój bandyta słyszał na pewno dobrze całą rozmowę, ale nie ruszał się w swej kryjówce. I dobrze zrobił, bo w parę minut później wpadł do sklepu Kolasiński. No, myślę sobie, teraz będzie draka. Ileż on tam może wytrzymać w tej szafie. Trzeba coś zrobić, ale co. Kolasiński zaczął sprawdzać kasę, a ja do niego: „Panie szefie, była Józefowa i prosiła pana na górę, ktoś do pana przyszedł“. Jak bujać, to bujać. Uwierzył i poszedł. Wtedy ja do lustra: „Panie, wyłaź pan!!! Ale jak nie szło, to nie szło. Ledwie mój wywrotowiec wykaraskał się ze schowka słyszę, że wraca Kolasiński. „No — myślę — teraz będzie granda“. Ale coś mi przyszło do głowy i zdążyłem facetowi szepnąć, żeby coś kupował. No i pokapował się. Prosił o duże owalne lustro do gotowalni żony. Kolasiński zapomniał o obsztorcowaniu mnie. Zaczął proponować. Gość wybrał, zapłacił żądaną sumę, a potem powiedział, że chciałby je zaraz zabrać i czy chłopak nie mógłby pomóc je odwieźć. Szef oczywiście w ukłonach zgodził się i popędził mnie po dorożkę. W parę chwil później jechaliśmy dryndą, a mój nabywca lustra jakoś chytrze ustawił je przed sobą, tak że nie bardzo go było widać. No i wtedy półgłosem zaczął mi wszystko wyłuszczać, co i jak. Że niby uratowałem mu życie, ale to nie jest najważniejsze, bo ma przy sobie bardzo ważne papiery. Potem dał mi jakąś małą paczuszkę i powiedział, żebym to oddał pod takim a takim adresem, a lustro znowuż, żeby zawieźć do jego żony. Podał mi rękę, uścisnął mi ją aż do bólu, ale nie był to ów przykry i w końcu rzekł tak: „Oby więcej było u nas ludzi takich jak ty“. No, to było bardzo dziwnie powiedziane... Ale sam pan rozumie, że mnie wtedy nie stać było na zrozumienie właściwej treści tych słów. Mnie tylko ogromnie wzięło za serce, że on, ten dziwny nieznajomy traktował mnie jak równego sobie. Ten uścisk dłoni, rozumie pan. To było coś zupełnie nowego w moim życiu. I już wtedy wiedziałem, że zrobiłbym dla niego wszystko, co by tylko chciał. Dotychczas w moim życiu były tylko dwie osoby, które odnosiły się do mnie inaczej niż wszyscy. Bez pogardy i bez sztucznej litości. Ksiądz Toporko i on, nabywca owalnego lustra. Nieco później miała się pojawić w moim życiu trzecia osoba. To była pani Krysia... Ona jedyna na całym świecie mogła mi mówić „biedny, kochany Janku“ i jej tylko słowa nie sprawiały mi przykrości. Ale to już znowu osobna historia... A skoro opowiadam panu całe swoje życie, to trzeba przecież zachować jaki taki porządek, prawda? No więc tak...

Zaraz za Zielonym Mostem pan Czesław — tak się mój nowy znajomy kazał nazywać — wyskoczył z dryndy, a ja pojechałem z tym nieszczęsnym lustrem i z ową paczuszką w kieszeni. Dopiero znacznie później dowiedziałem się, że jeszcze tego samego dnia pana Czesława aresztowano. Lustro dostarczyłem jego żonie. Najprzód była przerażona i zdziwiona, zarówno widokiem mojej osoby, jak i dziwacznym sprawunkiem. Ale wyjaśniłem, co i jak. Pani Krysia — żona Czesława — mieszkała z matką i córeczką na ulicy Mostowej. Mąż był w domu bardzo rzadkim gościem. Pani Krysia przyjęła mnie serdecznie i nadzwyczaj gościnnie. Poczęstowała mnie obiadem, wypytując ciągle o męża. A ja starając się wszystko dokładnie opowiedzieć, wpatrywałem się w nią jak w obraz. Niech się pan nie śmieje, ale zakochałem się... No, tak... Nieraz jeszcze w czasie okupacji byłem w ich mieszkaniu, nawet i to i owo pomogłem, bo po panu Czesławie ślad zaginął... Pewien czas mieszkałem u nich w kuchni. I byłem beznadziejnie, a jednocześnie tak bardzo zakochany. Ja wiem, że w moich ustach brzmi to śmiesznie, bo czy taki jak ja może mówić o miłości? Ale tak było. Ostatecznie i ten Quasimodo z powieści też na swój sposób kochał tę Cygankę. Uczucia to chyba mają do siebie, że nie patrzą w czyim sercu wypadnie im zagościć... Tak już jest.

No, dobra... Z Mostowej, gdzie przesiedziałem na rozmowie z panią Krysią chyba ze dwie godziny, poszedłem na Zwierzyniec. Niby z tą paczuszką. Do dziś dnia nie wiem, co w niej było, ale widocznie coś dla odbiorcy ważnego. Kiedy zapukałem do drzwi mieszkania niedużego domku stojącego na odludziu, przywitany zostałem nieufnym spojrzeniem starszego mężczyzny, który mi otworzył. Wtedy zgodnie z instrukcją powiedziałem: „Czy tu mieszka Jan Janowski? Przychodzę od pana Czesława“. Na te słowa twarz mężczyzny ożywiła się. Okazało się, że to on właśnie jest Jan Janowski, choć myślę, że to nie było jego prawdziwe ani imię, ani nazwisko. Zaprowadził mnie do pokoju, w którym był drugi mężczyzna, tylko znacznie młodszy. Obaj wypytywali mnie o szczegóły dotyczące Czesława. Na widok paczuszki, której zawartość jeden z nich sprawdził na stronie, nie wiedzieli, jak mi dziękować! Ten stary to nawet powiedział: „Dokonaliście bohaterskiego czynu, czy wiecie o tym?“ Oczywiście, nie wiedziałem, ale znów było mi jakoś przyjemnie, kiedy zaczęli mnie wypytywać o moje życie, a z ich pytań biła rzetelna troska. Opowiedziałem im to i owo. Nawet o tym, jak to mnie tato trzepnął kiedyś o ziemię i co z tego wynikło. O matce i siostrze... Nie wiem dlaczego zebrało mi się na szczerość, ale musiałem poczuć do nich szczególne zaufanie. Kiedy wychodziłem, ten starszy rzekł mi tak: „Idzie wielka wojna, bo świat jest taki, że ta wojna musiała przyjść. Są, widzicie, ludzie, którzy od dawna już, choć to niby jeszcze czas pokoju, walczą o to, aby świat był lepszy, aby ludzie, prości robotnicy i chłopi, żyli inaczej, szczęśliwiej niż u nas dotychczas. Rozumiecie, o to walczy Czesław, walczą i inni... O sprawiedliwość społeczną. O to, żeby nie było takich nieszczęśliwych rodzin, jak wasza... Myślę, że się jeszcze spotkamy, prawda? Gdybyście chcieli pomóc nam w tej walce, to i dla was znajdzie się robota... Ja pracuję w cukierni Sztralla na Wielkiej. Pamiętajcie, kelner Jan...“

Domyśla się pan pewnie, jaki przejęty wracałem ze Zwierzyńca. To było dla mnie zupełnie nowe przeżycie. A ten stary tak mi się podobał, że słuchałbym go godzinami. Myślałem o tym wszystkim, co mi mówił, i tylko dziwiłem się, w czym ja mógłbym takim ludziom pomóc. Powiedział to widać przez grzeczność, ale bardzo szybko wyszło tak, że faktycznie im pomogłem, i nie tylko im.

No, ale ja znowu nie po porządku...

Więc kiedy późno wróciłem do sklepu, Kolasiński wcale na mnie nie krzyczał, że go oszukałem z tymi gośćmi na górze. Okazało się, że po pierwsze — zmarło się właśnie jego żonie, a po drugie — w sąsiedztwie dokonano napadu na mieszkanie bogatego kupca. Mój szef miał więc dość kłopotów i strachu o swą kasę. W ostatnich miesiącach przed wybuchem wojny coraz więcej było takich napadów.

Pan Kolasiński oświadczył mi, że ma zamiar zlikwidować sklep i w związku z tym zrezygnować z moich usług. Tak więc miałem u niego być jeszcze jakiś tydzień. Co będę robić potem — nie wiedziałem. Nie byłem mu już więcej potrzebny i dalszy mój los wcale go nie interesował. W parę dni po pogrzebie Kolasińskiej przyszedł do sklepu... Antek. Mój brat, który w swoim czasie zwiał z domu na poszukiwanie ojca... Mówiłem o tym panu. Antek — był to już byk prawie dwudziestoletni o twarzy zdecydowanego na wszystko rzezimieszka. I rzeczywiście prosto z mostu powiedział mi, że tej nocy przyjdzie ze swym szefem po majątek Kolasińskiego. Więc żebym mordę trzymał na kłódkę, no i poza tym, żebym powiedział, gdzie Kolasiński chowa forsę i kosztowności. „Jak będziesz posłuszny — powiada — to dostaniesz swoją dolę, a jak nie, to w szyję. Z ciebie i tak nikt pociechy nie ma i żadnej straty nie będzie, jak cię w łeb się rąbnie, więc uważaj“. Nie wiedziałem jeszcze co robić, ale pod wpływem pierwszego strachu powiedziałem, że kasę trzyma Kolasiński w swym pokoju i że nie chcę mieć z tym wszystkim nic wspólnego. Chodziło o to, żebym po kolacji, wychodząc z mieszkania szefa, nie zatrzasnął drzwi.

Był u mnie, wie pan, taki moment, że chciałem o wszystkim powiedzieć Kolasińskiemu. Jakoś uprzedzić go, czy co. No, bo jakby nie było, wspólnikiem złodziei, choćby jeden z nich był moim bratem, nie miałem zamiaru być... Ale z drugiej strony Kolasiński też był lepszy ptaszek... Przecież żonie żałował na lekarstwa, nie mówiąc już, że głodził i Józefową, i mnie. A jak postąpił z Basią?... E, co tu gadać.

31 sierpnia 1939 roku — pamiętam jak dziś — szedłem wieczorem ulicą Mickiewicza i widzę, że coś się tu dziwnego dzieje. Samochody, samochody, samochody... Ciężarówki i osobowe. Pełno w nich przeważnie wyższych oficerów, kobiet i dzieci. Pełno walizek i innego bagażu. Policja na motocyklach... Zandarmeria... Mówię panu, widok nie z tej ziemi... Oho, myślę sobie, towarzystwo wynosi się chyba zupełnie... Na brzegach chodników stali gapie, ale dużo ich nie było. Każdy leciał do domu naradzić się, co dalej robić... Ja nie miałem się z kim naradzać, ani dokąd spieszyć... Wróciłem z przyzwyczajenia do sklepu. Kolasiński, który pakował do skrzyni całe urządzenie sklepu, wrzasnął na mnie, żebym mu pomógł. I znowuż z przyzwyczajenia zacząłem zbijać skrzynki i układać w nich co droższe lustra. Co on chciał z tym całym interesem robić, niewiele mnie to, panie, obchodziło. Tej nocy nie chciałem być przy sklepie, chciałem zobaczyć, co u matki słychać... Tymczasem dowiedziałem się, że Józefowa zabrała się na wieś. Kolasiński jakby odgadł, że chcę sobie iść, prosił mnie, żebym jeszcze tej nocy u niego został. Ja — nie i nie. To, wie pan, zaczął mnie błagać: „Zostań — mówi — na miłość boską, widzisz, co się dzieje, boję się sam, przenocujesz, a jutro sobie pójdziesz. Dziś z tobą się rozliczę. Dam ci dużo pieniędzy!“ Taki się zrobił raptem dobry. Nienawidziłem go, a jednocześnie było mi go żal. To bywa tak czasem. Podobno nawet więzień przyzwyczaja się do najgorszego dozorcy. A on skończył z tym pakowaniem i znowu swoje: „Wiesz, Janku, mam złe przeczucia... Zamknijmy sklep i chodźmy na górę“. Ja, widzi pan, wierzę od tego czasu, że ludzie przeczuwają swój koniec. I rzeczywiście, była to ostatnia noc życia Kolasińskiego. W dwie godziny potem ktoś zastukał do drzwi jego mieszkania. On był akurat w pokoju nieboszczki, a ja w przedpokoju, więc pytam: „Kto?“ „Otwieraj, łamago — mówi zza drzwi Antek — bo wywalimy drzwi, policja już nieczynna“. No więc idę do Kolasińskiego i mówię, że to złodzieje, ale trudna sprawa, chyba trzeba otworzyć. Wtedy Kolasiński krzyczy, żebym nawet nie śmiał. Biega po mieszkaniu, potem otwiera okno i drze się: „Ratunku, złodzieje!“, czy coś w tym guście. Czas był taki, że każdy pilnował swego. Antek i ci, co z nim byli — słyszę, że zgrabnie podważają drzwi. Kolasiński zamknął się w pokoju żony. Ja czekam, co będzie dalej. Wszystko szło bardzo prędko. Drzwi puściły, Antek wpadł pierwszy. Z miejsca huknął mnie pięścią w twarz. „A mówiłem, ofiaro jedna, drzwi otworzyć“. Zasłoniłem twarz przed dalszymi ciosami, a wtedy posłyszałem głos: „Daj mu spokój“. Za Antkiem wszedł wysoki, zarośnięty mężczyzna. Teraz niech pan zgadnie, kto to był? Mój rodzony tata. Nogi pode mną się zatrzęsły, bo to zawsze ojciec, którego właściwie nie znałem, tyle co z fotografii i opowiadań. Ot, do czego doszli z braciszkiem... Wpatrywałem się w niego w świetle nikłej żarówki, jak w jaki obraz. Ojciec! Rozumie pan, ojciec. W takiej sytuacji! I dziwne, ja go poznałem po głosie, a przecież nigdy jego głosu właściwie nie słyszałem. Jak tylko się odezwał, wiedziałem, że to on. Za ojcem wsunął się jeszcze trzeci człowiek. Wszyscy oni podeszli do drzwi, za którymi był Kolasiński. Podparli je ramionami, raz i drugi. Drzwi się otworzyły. Wlecieli do środka. Ja za nimi. Kolasiński leżał pośrodku pokoju w takiej dziwacznej pozie, jakby przed chwilą klęczał, był nieruchomy. Umarł widać ze strachu. Złodziejom się to nie podobało. Mój tata machnął ręką i chciał wychodzić. Ten trzeci zbliżył się do mnie i mówi: „Gdzie on ma kasę, ty diable, mów, bo cię tu zabijemy...“ Wtedy ojciec znowu stanął w mojej obronie: „Nie rusz go!“ Połazili po mieszkaniu, poszperali, a ja wciąż jak nieprzytomny stałem we drzwiach. Zrobili sobie tobół, napakowali co lepsze rzeczy i poszli. Ojciec zatrzymał się, widziałem jak spojrzał na mnie, potem poszedł za nimi. Wie pan, to się tak dziś opowiada, jak cudze sprawy, ale co ja wtedy przeżywałem, tego nikt nie opisze ani opowie. Byłem taki bezradny i samotny, że trudno sobie wyobrazić. Kim był dla mnie ten nieboszczyk? Obcy, mało powiedzieć obcy, bo raczej znany i nienawistny człowiek. Kim byli tamci dwaj? Niby ojciec i brat — a faktycznie znowu obcy, źli ludzie... Gdzie iść, co robić? I wtedy przyszedł mi do głowy ten właśnie pomysł... Ja, proszę pana, wiedziałem, gdzie Kolasiński trzyma kasę... Była taka skrytka w ścianie. Kolasińskiemu forsa nie była już potrzebna, krewnych w tym mieście nie miał, a byli tacy ludzie, którym pieniądze na pewno mogły się przydać...

No i tak wyszło, że nad ranem wylądowałem na Mostowej z wielką paczką pod pachą. Wtedy wszyscy latali z pakunkami, nawet w nocy, więc moja wędrówka nie zwróciła niczyjej uwagi. Na Mostowej nikt nie spał całą noc... Pani Krysia wysłuchała mojej opowieści i powiedziała, że trzeba zawiadomić kelnera Jana... To właśnie miałem na myśli.

Ja, wie pan, często potem myślałem, że to nie było w porządku, że tak zostawiłem Kolasińskiego. Ale za to, co jeszcze było w jego mieszkaniu i w sklepie, można było wyprawić z dziesięć eleganckich pogrzebów. Potem dowiedziałem się, że rzeczywiście sąsiedzi zajęli się tą sprawą, a że już tam sobie z nadwyżką policzył za tę ostatnią posługę, to było ich prawo.

Chodziło o to, że nie mogłem wrócić do sklepu z lustrami. Nie mogłem i już...

Pan jako literat może to jakoś ładnie potrafi wyjaśnić. To już nie moja rzecz...

No, tak... Rozgadałem się niemożliwie, a to już i późna pora... O, już pół do jedenastej. E, na ostatni tramwaj jeszcze zdążę. ...Jak ktoś tak uważnie słucha, jak pan, to przyjemnie opowiadać...

Mnie, wie pan, choć już dziś nie jestem zerem i, jak to się mówi, wyszedłem na ludzi, bo przecież jestem towarzyszem sztuki drukarskiej, mnie nieraz zdarza się, że w tramwaju, jak jest tłok, to znajdzie się młody chłopak, wóda od niego jedzie, który warknie na mnie: „Panie ten, nie pchaj się pan ze swoim plecakiem“. Tacy nazywają się u nas chuliganami... A ja popatrzę na niego i myślę, co z ciebie będzie za człowiek... A ten ksiądz, wie pan, ten Toporko, co go później gestapowcy zamęczyli, to nieraz mówił mi tak: „Pamiętaj, najwyższą troską i współczuciem należy otoczyć tych, którzy zło czynią i cierpienie sprawiają. Oni są bardziej nieszczęśliwi i pomocy potrzebujący niż ci, co przez nich cierpią...“ Nie wiem, może tak mówił, może trochę inaczej, ale ja tak to właśnie rozumiałem...

Gracjan Kozłowski

ROMAN ŁOBODA

Z wysokiej góry Synaj

1.

Laboratoria oddychają fioletowo
Kamienie promieniują słońcem
Na ziarno kiełkujące rzucona tafla powietrza
pęka — odsłaniając czerń nieba.

2.

A trzeba przychylić
nieba człowiekowi:
Rozpinam szeroko ramiona,
sprężam wysoko ciało,
zagarniam wszystko w objęcia,
napinam grzbiet jak tragarz —
i czuję jak mi rośnie
wielki garb.

3.

Poszedłem za miasto:
Kasztany spadały z gałęzi,
gąsienica pięła się uparcie po korze,
górą przelatywał samolot.
Zbierałem kamyki,
które drżały jak hale maszyn.

Nieskończoność robak
rysował na piasku
niedbałym ruchem ciała.

Motyl otwierał kolorystyczną
miniaturę wielkiego pędzla —
był skwar i cisza.

Głęboko dudniło serce ziemi

Ale w górze
lśniła dal niebiesko:

Fale eteru coś niosły
pracowicie jak mrówki.
Gniazda wymiarów otwierały pyszczki
jak głodne dzieci.
Suszyły się płaszczyzny
wiaterkiem poruszane.

4.

Jest przestrzeń między ziemią a...
której objąć nie mogę
ani oczami ze szkła
ani ogrodami strzelistych sosen,
wrosłych szeroko w skały,
ani tym, że cię tak kocham
we włosy oprawną
we włosach zagubioną.

5.

Trzeba rąk wielu
i uczucia,
i lat bez armat i kul.

A wewnątrz ludzkich przestronnych
i jasnych...

...Poezja przestrzeni niezapełnionej miłością
między ziemią a niebem.

6.

Z wysokiej góry Synaj
horyzonty zbiegają.
Z wysokiej góry widać gaje oliwne
i krzaki cierniowe się ścielą.

Tam figi i pomarańcze
udają stworzenie świata —
banany wschodzą wieczorem.

Z wysokiej góry Synaj
widać pola i lasy,
drogi, miasta i ludzi.

Do Morza Martwego
spływają wody Jordanu —
tam żył Człowiek, który jest Bogiem.

HORACY SAFRIN

Pieśń o pokoju na ziemi

(Z Jezajasza, rozdz. XI)

...I wyjdzie konar krzepki z pnia Iszai,
a pień zmurszały liściem się umai,
kwiecisty przepych dokoła roztoczy —
i znowu spocznie na nim duch proroczy.

A Pan Zastępów wiedzy mu przysporzy,
mądrości wielkiej i bojaźni Bożej,
i nad ludami uczyni zeń sędzię,
by sprawiedliwość jeno miał na względzie.

Przeto prawością go przepasze, aby
dochodził krzywdy maluczkich i słabych,
przyganiał możnym, a nie dawał przenic
na podszept uszu i mamidła źrenic.

Pod swoją różdżkę tedy ziemię nagnie,
tak jako owczarz rozigrane jagnię,
i warg podmuchem wszelki złoczyn zmiecie,
ażeby pokój zapanował w świecie — — —

I wilk z jagnięciem zamieszka pospołu,
i lew pustynny w towarzystwie wołu
przyjaźnie ruszą na pastewne pole —
a wieść je będzie nieletnie pacholę.

Krówka z niedźwiedziem święcić będą gody
i tygrys grzecznie chadzać obok trzody,
słoń wedle cieląt — a malutkie dziecię
żmij kłębowisko rączkami oplecie — — —

W ów dzień przewrotny upokorzę Asyr,
i zbiorę lud mój, zaprzedany w jasyr,
i ten, po krajach wygnania rozprószon —
czyli w Egipcie, w Moab, czyli w Kusz on.

W ów dzień proporzec swój objawię światu,
i brat urągać zaprzestanie bratu:
bo znaki ujrzą jasne i widome,
że się Izrael pojednał z Edomem...

Zagadnienia prawne

AKADEMII TEOLOGII KATOLICKIEJ

(Dokończenie ze str 3)

dziła tu żadnych zmian. Państwo co prawda dokonało i to z własnej inicjatywy zmian, wyodrębniając i usamodzielniając Wydział. Zmiany te jednak dotyczą tylko strony administracyjnej poruszanego zagadnienia, nie dotyczą istoty rzeczy, o czym mówiliśmy wyżej. Jeśliby ktoś miał wątpliwość i nie chciał się zgodzić z powyższym poglądem, to jego zastrzeżenia mogą dotyczyć najwyżej struktury prawno-państwowej Wydziału, a nie dotyczą struktury prawno-kościelnej. Wynika to stąd, że każda ze stron może dokonać zmian tylko we własnym zakresie — w zakresie własnych uprawnień. Zmiany te dokonane przez państwo nie naruszają stanu prawnego kościelnego. Zasadę tę uwypukla także uchwała Rady Ministrów z dnia 2. VIII. 1954 r. Nr 17/54 przez stwierdzenie, że wyodrębniony Wydział Teologii Katolickiej kontynuować będzie swą działalność w ramach Akademii Teologicznej na podstawie dotychczas obowiązujących go przepisów prawa kanonicznego. W § 2 tejże uchwały zagwarantowane jest także zachowanie prawa kanonicznego i postępowanie w myśl jego przy nadawaniu stopni akademickich: magistra i doktora oraz przy nadawaniu tytułów profesora zwyczajnego i nadzwyczajnego, jak też i docenta Akademii. Te same przepisy kanoniczne mają zastosowanie także i do zasad organizacji Akademii. Konsekwencją tego postępowania jest wprowadzenie do statutu uczelni przepisu w § 3 stwierdzającego, że „Statut Wydziału Teologii Katolickiej Uniwersytetu Warszawskiego jest Statutem Akademii Teologii Katolickiej". Statut Wydziału, jak wyżej było powiedziane, jest statutem dostosowanym do konst. „Deus scientiarum Dominus" i zaaprobowany przez Stolicę Apostolską w r. 1934, a więc zadośćczyniącym przepisowi kan. 1376 § 2. Ze względu na to, że sam Wydział był erygowany kanonicznie przez Stolicę Apostolską w r. 1920 wynika, że i w tym wypadku jest zachowany przepis kan. 1376 § 1 o kanonicznej erekcji uniwersytetów czy wydziałów katolickich, ponieważ Akademia jest dalszą kontynuacją Wydziału warszawskiego z punktu widzenia prawa kanonicznego.

Powyższe rozważania prowadzą nas do wniosku, że żadne istotne zmiany w strukturze prawno-kościelnej Wydziału warszawskiego nie zostały wprowadzone przez wyłączenie i usamodzielnienie Wydziału przez władze państwowe. Mają one znaczenie tylko administracyjne, co z punktu widzenia interesów Kościoła nie przedstawia zasadniczego znaczenia.

Co się tyczy Wydziału Teologicznego w Krakowie, to wyodrębnienie jego z Uniwersytetu Jagiellońskiego i włączenie go w ramy Akademii, celem kontynuowania dalszej swej działalności jest aktem jednostronnym państwowym, dokonanym uchwałą Rady Ministrów z dnia 11. VIII. 1954 r. Nr 5. 1/54. Ze względu na to, że uchwała gwarantuje zachowanie prawa kanonicznego przy dalszej kontynuacji działalności Wydziału w ramach Akademii oraz, że w statucie Akademii zastrzeżone jest dalsze posługiwanie się Wydziału własnym statutem — § 11 Statutu brzmi: „W ramach Akademii Teologii Katolickiej kontynuuje swą działalność Wydział Teologii Uniwersytetu Jagiellońskiego na podstawie dotychczas obowiązujących go przepisów prawa państwowego i kanonicznego i posługuje się własnym statutem" — umożliwiło to także Władzy Kościelnej przyjęcie do wiadomości administracyjnego zarządzenia wyodrębnionego z Uniwersytetu Jagiellońskiego, mimo że opowiedział się za pozostawieniem Wydziału Teologicznego w Krakowie. Statut Wydziału Teologicznego UJ zatwierdzony jest przez Stolicę Apostolską, a więc wprowadzenie jego do statutu Akademii jest zadośćuczynieniem wymogu kan. 1376 § 2 odnośnie Wydziału krakowskiego.

W całokształcie swej działalności kieruje się Akademia obowiązującymi przepisami państwowymi, dotyczącymi szkolnictwa wyższego oraz prawem kanonicznym o uniwersytetach i wydziałach studiów kościelnych. Wynika stąd, że w zakresie przepisów prawa państwowego podlega Akademia Ministrowi Szkolnictwa Wyższego, a w zakresie przepisów prawa kanonicznego Władzy Kościelnej, która udziela profesorom i wykładowcom misji kanonicznej.

Tak się przedstawiają zagadnienia prawne państwowo-kościelne Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie.

Co się tyczy jej zadań, celów, to są one takie same, jakie miały i mają Wydziały Teologiczne warszawski i krakowski.

Ujęte zostały one krótko w § 6 statutu Akademii. Są nimi:

1) Uprawianie nauk teologicznych, filozofii i prawa kanonicznego wśród duchownych i świeckich.

2) Przygotowanie pracowników o najwyższym poziomie kwalifikacji zawodowych.

3) Przygotowanie pracowników zdolnych do samodzielnego naukowego opracowania zagadnień przy wykonywaniu swego zawodu.

4) Kształcenie pracowników nauki i przygotowanie ich do pracy dydaktycznej i badawczo-naukowej.

5) Organizowanie i prowadzenie badań naukowych.

6) Upowszechnianie nauk teologicznych.

Zaznaczyć tu należy, że punkt pierwszy jest powtórzeniem statutu Wydziału warszawskiego, omawiającego zadania i cele Wydziału. Pozostałe punkty są tylko szczegółowym wyjaśnieniem zasad, zawartych w punkcie pierwszym.

Ks. Marian Myrcha

KONRAD EBERHARDT

PODWÓJNA KLĘSKA RUY BLASA

PODCZAS spektaklu „Ruy Blasa" Victora Hugo w Krakowskim Teatrze Starym nawiedzały mnie dosyć przekorne myśli. W jakim celu — zapytywałem w duchu — powołano do istnienia takie funkcje w teatrze jak kierownika artystycznego, reżysera (wraz z asystentami), scenografa (wraz z asystentami), „dramaturga" (tak w Krakowie nazywa się kierownika literackiego) i jaką właściwie rolę spełniają wyżej wymienione postacie? Czy powinni oni być wrażliwsi na estetykę widowiska teatralnego od przeciętnego widza, czy też nie? Czy wolno wymagać od nich, aby wyciągali wnioski z dyskusji artystycznych, aby nawiązywali do dobrych tradycji w teatrze, a unikali złych? Dlaczego wreszcie — jeśli przejdziemy do bardziej konkretnych uwag—zespół tak zwanych i doświadczonych ludzi teatru jak Roman Zawistowski (kierownik artystyczny), Wiliam Horzyca (reżyser) i Andrzej Pronaszko (scenograf) pozwolił na przygotowanie widowiska odznaczającego się tak bardzo nierównym poziomem, pełnego aż nazbyt rażących „nietaktów" artystycznych?

Długo czekać będę z pewnością na rozwiązanie tej intrygującej zagadki. Lecz fakt pozostaje faktem: przez wiele miesięcy nieustannych prób grono doświadczonych mężów teatru, rozporządzających nienajgorszym materiałem aktorskim, nie było w stanie stworzyć przedstawienia, które choć w części dorastałoby do zapowiedzi. „Ruy Blas" w Teatrze Starym miał być przecież drugim wielkim wydarzeniem teatralnym po „Kaukaskim Kredowym Kole", tym ciekawszy, że przygotowywany po przejeździe Zespołu TNP przez Kraków m. in. z tym właśnie dramatem Victora Hugo.

Osobiście jestem entuzjastą „Ruy Blasa" i uważam go za najbardziej żywą, najlepszą pozycję francuskiego teatru romantycznego. Cenię ten dramat za niespodzianki, jakich nie skąpi realizatorom, którzy po niego sięgną, za niebezpieczeństwa artystyczne, o które nie trudno podczas pracy nad jego tekstem. Za to, że tak łatwo można zrobić z niego wielką, ciężką i ponurą szmirę, płytki melodramat — lub wreszcie wspaniały poemat sceniczny. To nieprawda, że przedstawienie „Ruy Blasa" w inscenizacji Vilara było słabsze od pozostałych. Wręcz przeciwnie, „Ruy Blas" to złota karta tego teatru. Trzeba było uważnie obserwować, jak wiele wyczarował wielki reżyser z tej sztuki, ile wydobył z niej poetyckiego uroku, ile myśli i sensu. W jego reżyserii przestała to być „historia lokaja, który zakochał się w królowej i stał się księciem wskutek intrygi dworskiej, lecz doznał klęski itd." — jak można by streścić ten utwór w szkolnym wypracowaniu, uwypuklając wszystkie jego nieprawdopodobieństwa i naiwności psychologiczne. Vilar znalazł właściwe rozwiązanie: stworzył bardzo oszczędnymi środkami wielki poemat sceniczny o człowieku z ludu, jego marzeniu o wielkości, które niespodziewanie obleka się w kształt realny, zresztą jakże złudny... Oglądając przedstawienie Vilara odnaleźliśmy wszystko to, co w tym dramacie wielkiego poety francuskiego pozostało dla nas młode i wartościowe — w cień natomiast odeszły obce nam momenty melodramatyczne, uproszczenia charakterów i sytuacji. Jakże czysto i wyraźnie zabrzmiał tam protest szlachetnego chłopca z ludu wobec hipokryzji i podłości magnatów — chociaż ani na chwilę nie byliśmy gotowi uwierzyć w pełną „realność" rozgrywających się na scenie, niejako w poetyckiej przenośni, zdarzeń...

Nie chodzi mi bynajmniej o jakieś naśladowanie, czy kopiowanie inscenizacji TNP. Chodzi mi jedynie o zdecydowany stosunek reżysera do wystawionego utworu. W przedstawieniu krakowskim nie odnalazłem jasnej myśli, koncepcji reżyserskiej. Przedstawienie było bardzo niejednolite. Jedna tylko cecha była dominująca i łącząca scenografię z grą poszczególnych aktorów, mianowicie chaotyczność. Nie wiem, czy przejazd TNP przez Kraków, teatru obywającego się bez dekoracji, sprowokował reakcję Andrzeja Pronaszki, który zaprojektował wnętrza wyjątkowo nie zharmonizowane plastycznie, zatłoczone, składające się z wielu sprzecznych elementów. Po co w pierwszym akcie sterczy ta nieszczęsna kolumna z kulą ziemską i lwem na czubku, skoro Pronaszko przerzucił już przez scenę interesujący łuk? Po co w trzecim akcie, na tle interesujących kotar zwisających ukośnie z emblematami królestwa ustawiono tego olbrzymiego lwa z brązu, jakiś rozrosły do wielkich kształtów, niegustowny, wiedeński przycisk na biurku? Dlaczego po to, aby królowa mogła wyjść tajemnymi drzwiczkami ustawiono przy ścianie dziwaczny czworobok z ornamentami przypominającymi kabinę telefoniczną, czy piec kaflowy? Na tle chaotycznych dekoracji pojawiają się aktorzy reprezentujący bardzo nierówny poziom gry. I tutaj tkwi główny powód niepowodzenia krakowskiej premiery. Obie role: Ruy Blasa i Królowej obsadzono najfatalniej przesądzając tym samym o całości spektaklu. W tej sztuce można wybaczyć niedociągnięcia wielu osobom, ale właściwe zarysowanie postaci bohatera romantycznego decyduje o wszystkim. Cóż, kiedy Ruy Blasa właściwie w ogóle nie było. Wiktor Sadecki, aktor wykazujący się talentem w sztukach innego rodzaju — tutaj nie był w stanie powołać do życia trudnej postaci lokaja i księcia d'Olmedo równocześnie. Był nijaki. Poruszał się niezgrabnie po scenie z nieruchomą twarzą, mówił jednostajnym nudnym głosem, dopiero od trzeciego aktu przybrał bardzo obcą francuskiemu dramatowi romantycznemu cierpiętniczą pozę anhelliczno-kordianowską.

Królowa (Zofia Niwińska) nie była mu dłużna. Uderzyła wprawdzie w inny ton, ale z podobnym rezultatem. W odróżnieniu od martwoty Ruy Blasa grała z niepotrzebną emfazą, czyli najkrótszą drogą zmierzała do ckliwego melodramatu. A przecież te zasadnicze, o pomstę do nieba wołające błędy nie były w stanie zniweczyć wszystkich wartości krakowskiego przedstawienia. Cały akt czwarty (domku Don Cezara) gdzie ani razu nie pojawiają się Ruy Blas i królowa, był świetną częścią widowiska i nagrodzony został przez publiczność gorącymi oklaskami. Tam bowiem w pełni zabłysnął bardzo interesującą, oryginalną koncepcją postaci Kazimierz Meres w roli Don Cezara de Bazan. Była to z pewnością najciekawsza rola w całym przedstawieniu. Nie posuwając się tak daleko w stronę komizmu i groteski, jak Sorano w inscenizacji vilarowskiej, stworzył bardzo naturalną i szczerą sylwetkę wesołego chłopca, który szuka przygód gdzie się da, wyrzekając się swego arystokratycznego miana. Budził zdecydowaną sympatię — ale cel przez to został osiągnięty i kontrast z ponurą sylwetką magnata Don Sallusta zyskał na ostrości. Grał go zresztą bardzo dobrze Wacław Nowakowski. Wszyscy pozostali arystokraci spisywali się również dobrze.

Wiliam Horzyca jako reżyser zawiódł moje oczekiwania. Już pomijając fakt, że zmarnowanie interesującej psychologicznie postaci Ruy Blasa przekreśliło możność przeprowadzenia jakiejś ciekawszej myśli, że romans z królową wypadł bardzo tanio i przeciętnie — to również sytuacje nie były najlepiej przemyślane. Podaję jedną dla przykładu: w drugim akcie u Vilara, damy dworu otaczające królową szyją, czy też zajmują się jakąś robótką. W przedstawieniu krakowskim reżyser mógł im dać do ręki modlitewniki, ale przecież, moi kochani, nie mogą przez pół godziny tkwić nieruchomo jak słupy soli. Kostiumy były doskonałe, świetnie harmonizujące lub kontrastujące kolorystycznie, były one jedną z rozsypanych tu i ówdzie zalet przedstawienia. Osobna pochwała należy się twórcy wspaniałego tłumaczenia, Gabrielowi Karskiemu. Tekst brzmi bardzo naturalnie i świeżo, jest nowoczesny chociaż tu i ówdzie pada jakieś staropolskie „ninie", „wszelako", co dodaje specjalnego smaku.

Po rozdaniu tych świadectw, ocen i sądów powrócę do pytania początkowego: komu mamy zawdzięczać, że posiadając dobrych reżyserów, scenografów i aktorów otrzymujemy przedstawienie w trzech czwartych chybione? Dlaczego zmarnowana została wielka szansa podźwignięcia repertuaru romantycznego w teatrze polskim na właściwy poziom?

Konrad Eberhardt

WIECZNIE KOBIECE

(Dokończenie ze str. 1)

krytyka schlasta, a po dwu tygodniach pies z kulawą nogą nie będzie już o nim pamiętał. Źle wyreżyserowany i zagrany dramat miłości może mieć jak najbardziej ponure konsekwencje życiowe. W tej dziedzinie partactwo i upodobanie do szmiry mszczą się okrutnie. I dlatego zakochani powinni unikać romansideł w stylu Ireny Zarzyckiej, a czytywać rzeczy o poziomie artystycznym i atmosferze moralnej książki Gertrudy von Le Fort.

Chodzi o właściwą teorię szczęścia. Znów wymieniam ów termin *expressis verbis*, choć właściwie cały czas zajmowałem się tym tematem. Względy kompozycyjne nakazują jednak wrócić do motywu podjętego poprzednio, by rozwinąć go szerzej, pogłębić i wreszcie rozwiązać mocnym akordem końcowej pointy.

Wyraziłem we wspomnianym wyżej fragmencie niniejszego szkicu swoją najgłębszą niechęć do dwóch zjawisk: 1) przeceniania własnego „ja", 2) identyfikowania szczęścia osobistego z tzw. powodzeniem życiowym. Małe, drobne, egoistyczne „ja" jest zawsze łakome i skłonne zarówno w dziedzinie spraw ducha, jak i materii do gospodarki drobnokapitalistycznej, do zachłannego gromadzenia wokół siebie wszystkiego, co uda się zdobyć, zagarnąć, przywłaszczyć lub wyszachrować. Chce ono mieć, chce posiadać. Posiadanie jest dla niego samopotwierdzeniem własnego istnienia. Posiadam — więc jestem! Bo czyż można wyobrazić sobie własność bez właściciela, bez posiadacza? Posiadaczowi konieczne jest jednak do szczęścia, aby go podziwiano i ceniono właśnie jako posiadacza. Czuje się w pewnym stopniu zobowiązany do imponowania otoczeniu. Imponowania — czym? Oczywiście, swoimi sukcesami, swoim powodzeniem życiowym. „Mnie się udało, a wam nie! Znajcie pana!" Kult sukcesu, utożsamianie go ze szczęściem jest nieuniknioną konsekwencją drobnokapitalistycznej gospodarki w dziedzinie ducha, naturalnym tworem psychiki wiecznie strwożonego o swoją szczurzą egzystencję małego egoisty.

Stwierdzić jednak trzeba, że teoria szczęścia, jaką kierujemy się w praktyce, wyrasta z takiego właśnie podglebia psychicznego: ma ona na względzie odosobnioną jednostkę, której pragnie zapewnić powodzenie, dostatki, potęgę oraz cześć i uznanie otoczenia. Każde pojedyncze, „wspaniałe ja" czuje się — przynajmniej potencjalnie — władcą ziemi, koroną stworzenia, punktem centralnym kosmosu i na tym przeświadczeniu buduje swój stosunek do świata i bliźnich. „Zyskiwać jak najwięcej wydając jak najmniej" — oto dewiza, która jest tajnym kompasem naszej polityki życiowej. Ale dewiza ta jest fałszywa, a oparta na niej polityka zmierza do nieuchronnego bankructwa.

Romantyczna Arabella Gertrudy von Le Fort, postępująca z punktu widzenia omawianej powyżej teorii szczęścia jak najbardziej niedorzecznie, działa i słusznie, i najzupełniej racjonalnie. Jej szczęście polega na tym, żeby dawać, żeby dawać bez lękliwego oglądania się, ile w skarbcu pozostało jeszcze do rozdania, i bez liczenia na jakąkolwiek odpłatę. Rozdając się światu zyskuje się go dla siebie; starając się zagarnąć z niego, ile tylko można na własny użytek — mobilizuje się go przeciw sobie. Pierwszy z tych dwóch rodzajów postępowania świadczy o nieprzebranym bogactwie duszy, drugi o jej rozpaczliwej nędzy. I dlatego pierwszy jest gromadzeniem skarbów, drugi ich trwonieniem.

TO, co nazwaliśmy poprzednio „wolą słabości", jest w ostatecznych swych konsekwencjach heroizmem aktywnej miłości zwróconej od siebie ku światu. Posługując się językiem mniej poetycznym trzeba by mówić w tym wypadku o świadomie kultywowanej postawie ekstrawertycznej, która już sama przez się wyraża pozytywny zasadniczo stosunek jednostki do otoczenia, stosunek nacechowany sympatią i zaufaniem. Ta „wola słabości" nie musi bynajmniej przychodzić do głosu tylko wtedy, gdy istnieje możliwość nawiązania romansu z cesarzem lub uratowania życia angielskiemu następcy tronu. Sferą jej działania może być — i jest — cała dziedzina naszej codziennej rzeczywistości z jej poplątaną siecią międzyludzkich stosunków i konfliktów. Od nas tylko zależy wybór, czy w wypadku potrzeby rozwikłania jakiegoś choćby całkiem drobnego supełka życiowych trudności i nieporozumień kierować się będziemy względami na własną korzyść, czy też na dobro naszego współtowarzysza kłopotów. Oczywiście, w praktyce — mimo najlepszej woli — będziemy tego rodzaju zadania bardzo często rozwiązywać fałszywie, gdyż — jak powiada I a Rochefoucauld — „miłość własna jest zręczniejsza niż najzręczniejszy z ludzi" i potrafi nas oszukiwać przy zachowaniu wszystkich pozorów postępowania jak najbardziej godnego i prostodusznego. Chodzi jednak przede wszystkim o sam kierunek naszej woli, o przeobrażenie naszej wiedzy moralnej. I pod tym względem „Córka Farinaty" jest książką o dużej wartości inspiracyjnej. Podważa i atakuje zastarzałe schematy myślenia i odczuwania, sugeruje konieczność ich jak najbardziej zasadniczej rewizji, organizuje na nowo impulsy decydujące o charakterze naszego stosunku do nas samych i do naszego otoczenia. Przeciwstawia kultowi — ach! jakże męskich! — militarno-awanturniczo-sportowych, „wyczynowych" heroizmów kobiecy heroizm dobroci i miłości. Czy jednak na pewno tylko kobiecy? Czy „wola słabości" nie jest także heroizmem Ewangelii? „Złodziej nie przychodzi, jeno żeby kradł, a zabijał i tracił. Jam przyszedł, aby żywot miały i obficiej miały. Jam jest pasterz dobry. Dobry pasterz duszę swą daje za owce swoje" (św. Jan X, 10—11). Powiedzmy raczej: jest to ten typ heroizmu, który w epoce wypaczonej i fałszywie rozumianej „woli mocy" przetrwał w cnotach lekceważonych jako typowo „kobiece", a swoją apologetkę i gloryfikatorkę znalazł w Gertrudzie von Le Fort. Nie ma jednak żadnych rozumnych przyczyn, by twierdzić, że na praktykowanie go mają monopol wyłącznie kobiety.

Dziś zresztą szanse jego poprawiły się zdecydowanie. Epoka walki o pokój, powszechne braterstwo i sprawiedliwość społeczną odwołuje się w znacznym stopniu właśnie do „kobiecych" cnót i impulsów człowieka, a tym samym stwarza odpowiednie warunki dla renesansu tej odmiany heroizmu. Duch naszych czasów nie pozostaje już w sprzeczności z jego duchem, tak jak to było w owej — żal się Boże! — „męskiej" epoce supremacji mieszczaństwa.

„Wiecznie kobiece pociąga nas wzwyż" — jak mawiał Goethe.

Stefan Lichański

Aktualia księgarniane

WRACAMY DO POWIEŚCI

W ciągu ostatnich kilku tygodni, kiedy zajmowaliśmy się literaturą młodzieżową i niebeletrystyczną — na ladach księgarni pojawiło się sporo ciekawych nowości powieściowych. Przejrzyjmy najważniejsze z nich. Wypada zacząć od „koszuli", tj. od literatury rodzimej.

„Warszawa naszej młodości" to tytuł wydanej przez „Iskry" antologii wspomnień o dawnej Warszawie, Warszawie widzianej młodymi oczyma dziewięciu współczesnych (już dziś niemłodych!) pisarzy i artystów: BOGUSZEWSKA, DĄBROWSKA, LESZCZYŃSKI, RADWAŃSKI, SZANIAWSKI, MAŁKOWSKI, SŁONIMSKI, ZARUBA, NAŁKOWSKA. Urok, wdzięk, wielki ładunek uczucia zawarty w książce, szczery, nie mający nic wspólnego z ckliwością — sentyment — wszystko to zostało natychmiast ocenione przez czytelników. Książka jest rozchwytywana!

PIW w dowód pamięci o pięknej spuściźnie zmarłej niedawno ZOFII NAŁKOWSKIEJ wydał jeden z jej najlepszych, wczesnych utworów: „Romans Teresy Hennert". — „Wydawnictwo Literackie" obdarzyło miłośników powieści historycznej nowym tomem K. BUNSCHA: „Ojciec i syn". Należy zaznaczyć, że powieść ta nie ma nic wspólnego ze znanym cyklem powieściowym tegoż autora.

Nową powieść ZENONA SKIERSKIEGO „Jemioła dojrzewa" (PAX) zaliczyć należy do najlepszych utworów tego pisarza. Pełne prawdy psychologicznej dzieje młodego Fabiana, któremu pycha i żądza „wybicia się" za wszelką cenę — zamykają oczy na wszystko inne—przykuwa uwagę czytelnika w najwyższym stopniu. Dramatyczna droga brnięcia w grzechu, zakłamaniu wobec samego siebie kończy się jednak zwycięstwem Łaski. Tragizm zostaje przezwyciężony. Dla przypomnienia: fragment tej powieści drukowany był w ub. roku przez „Dziś i Jutro".

Większość wydawnictw „sypnęła" ostatnio nowymi pozycjami beletrystyki młodzieżowej. W wydawnictwie „Iskry" ukazały się trzy nowatorskie w pewnym sensie — bo nie nudne! (jak to się często — jeśli chodzi o naszą literaturę młodzieżową — zdarza) — powieści: „Powrót do domu" STANISŁAWA WYGODZKIEGO, „Pamiętnik przyjaciół" ANDRZEJA PIWOWARCZYKA (wspomnienia z lat chłopięcych i młodzieńczych w sanacyjnej Polsce) i „Karuzela" WŁADYSŁAWA MULARCZYKA. Ta ostatnia będzie chyba najmilsza młodemu czytelnikowi, gdyż jest najbardziej „młodzieńcza".

Już swoją okładką zwraca na siebie uwagę „Zagubiona przyszłość" K. BORUNA i A. STOPKI — nowa, arcyciekawa powieść fantastyczno-naukowa. Jest to historia sztucznego księżyca ziemi, opanowanego przez kapitalistów i uprowadzonego (po utwierdzeniu się na całej kuli ziemskiej socjalizmu) — w dalekie przestrzenie międzygwiezdne. Przenieść się w XXIII wiek i przeżyć niezwykłe przygody—to duża pokusa i dla niejednego dorosłego czytelnika. Przeprowadzając „błyskawiczny" wywiad z paroma młodymi i „starymi" czytelnikami tej książki dowiedziałem się, że cenią ją sobie bardziej od powieści dotychczasowego „monopolisty" w tej dziedzinie — STANISŁAWA LEMA: „U Lema za dużo opisywania, a za mało akcji, „przygód"! Może i mają rację! W każdym razie możemy się spodziewać nowych, coraz ciekawszych powieści „kosmicznych"! „Piąty żywioł" OLGIERDA TERLECKIEGO (WL) — to powieść o młodzieży Nowej Huty. Warta przeczytania! Wielce sensacyjną lekturę stanowią autentyczne wspomnienia wietnamskie TADEUSZA KLIMASZEWSKIEGO pt.: „Jak uciekłem z Legii Cudzoziemskiej" („Czytelnik"). Również „Czytelnik" wydał obszerny wybór „Utworów dla młodzieży" WANDY WASILEWSKIEJ. Uprawny 500-stronicowy tom zawiera m. in. „Legendę o Janie z Kolna", „Kryształową kulę Krzysztofa Kolumba", „Szlakiem przygód", „Wierzby i bruk", „Pokój na poddaszu" oraz wiele drobnych opowiadań znanych nam wszystkim z „Płomyka" i innych pisemek dla dzieci i młodzieży z lat trzydziestych.

Przejdźmy do przekładów. Z literatury czechosłowackiej mamy wznowienie „Miasteczka na dłoni" JANA DRDY (PIW) oraz dwuczęściową „epopeję" historyczną o Janie Husie.: „Mistrz Jan" i „Pochodnia" MILOSA KRATOCHWILA.

Państwowy Instytut Wydawniczy kontynuuje systematycznie uprzystępnianie szerokim rzeszom czytelników dzieł LWA TOŁSTOJA. Ostatnio ukazał się tom opowiadań pt. „Śmierć Iwana Iljicza" oraz „Zmartwychwstanie" (2 tomy). Także PIW wydał dwa pierwsze tomy zamierzonego, szesnastotomowego cyklu „Pism" MAKSYMA GORKIEGO. Tom pierwszy zawiera „Utwory różne — 1895—1896", tom drugi — „Opowiadania—1890—1899".

Współczesną powieść radziecką reprezentują „Wielka rodzina" M. STELMACHA (MON , 2 tomy), „Zaszczytne stanowisko" ASHER JEWTYCHA („Iskry") oraz „Iwan Groźny" WALENTYNA KOSTILEWA. Dwie pierwsze powieści łączy wielki patriotyzm i zdolność zbliżania czytelnikowi (poprzez bezpośredniość opisu i stylu) powszedniego życia ludzi radzieckich. „Iwan Groźny" KOSTILEWA jest dużej miary powieścią historyczną starającą się „zrehabilitować" sfałszowaną przez burżuazyjnych historyków postać wielkiego cara, którego mądrość polityczna doprowadziła do powstania zwartego i silnego państwa rosyjskiego.

Poza tym PIW wznowił „Potępienie Paganiniego" A. WINOGRADOWA.

„Miłość ubogich" PETRA VERESZA to świetna powieść realistyczna z życia ubogich mieszkańców Budapesztu w latach po pierwszej wojnie światowej.

Z literatury angielskiej mamy nową powieść współczesną JACKA LINDSAYA „Przypływ" oraz zbiorek opowiadań o życiu dokerów w wielkich portach australijskich—„Targ niewolników" J. MORRISONA. Pokrewna tematycznie jest wydana przez „Czytelnika" antologia nowel postępowych pisarzy australijskich: „I drzewa mówią".

Interesujące są dwa tłumaczenia ze współczesnej literatury włoskiej. „Cała prawda" SILVIO MICHELO jest prawdą o współczesnych Włoszech, w losach jej bohaterów odbija się cały dramat walczącego o wolność i chleb ludu Italii. Opowiadanie DOMENICO REA: „Fotografia majowa" sięga w niedaleką przeszłość, w lata chłopięce jej autora. Ten młody pisarz zdobył już 4 lata temu za swoją powieść „Jezu, uczyń światło" — najwyższą nagrodę literacką Włoch: Premio Viareggio.

Państwowy Instytut Wydawniczy wypuścił całą serię wybitnych dzieł klasyki francuskiej. Na pierwszym miejscu wymienić należy (z trudem dotąd znajdowane w antykwariatach) „Dzieje Tristana i Izoldy" (oprac. BEDIER, tłum. BOY). Ten smucący zarazem i krzepiący serca „największy poemat miłosny wszystkich czasów" znika z księgarni równie szybko jak w roku ubiegłym „Cierpienia młodego Wertera".

Drugim arcydziełem literatury francuskiej jest równie tragiczna „Historia Manon Lescaut i kawalera des Grieux" PREVOSTA. Na przeciwnym krańcu stoją ucieszne i mocno frywolne przygody „Kubusia Fatalisty" oraz „Zakonnica" DIDEROTA.

Zbigniew Dolecki

KONKURS NA REPORTAŻ

W związku z listami nadchodzącymi do redakcji, przedłuża się termin składania prac konkursowych do dnia 20 kwietnia br.

REDAKCJA

recenzje·recenzje·recenzje

NOTATNIK KONKURSOWY

Pierwszy etap Wielkiego Konkursu mamy już za sobą. 41 pianistów zakwalifikowano do dalszych eliminacji. Do drugiego etapu w całości przeszła ekipa polska i radziecka, w znacznej zaś większości ekipa francuska i węgierska. Kilku kandydatów posiada w drugim etapie Bułgaria, Niemcy, Czechosłowacja a po jednym reprezentancie: Iran, Finlandia, Chiny, Chile, Anglia, Włochy, Japonia i Cejlon.

Wśród 32 kandydatów nie dopuszczonych do dalszych eliminacji znaleźli się nie tylko pianiści słabiej przygotowani do Konkursu, ale także mimo młodego wieku doświadczeni muzycy, artyści o kilkuletnim stażu koncertowym i międzynarodowych sukcesach. Niedopuszczenie ich do drugiego etapu zaskoczyło może publiczność warszawską jak i samych kandydatów, było jednak oceną słuszną i sprawiedliwą. Konkurs warszawski jest Konkursem chopinowskim, imprezą, w której pianista poza walorami technicznymi, muzykalnością i opanowaniem programu prezentuje sposób rozumienia muzyki polskiego kompozytora. Wczucie się w klimat, nastrój i treść muzyki Chopina tak bardzo odrębnej i indywidualnej nie należy do łatwych osiągnięć. Tymczasem ocena Sądu Konkursowego w dużym niewątpliwie stopniu zależała od interpretacyjnych koncepcji pianisty. Nic więc dziwnego, że kandydaci, którzy nie znaleźli słusznych rozwiązań interpretacyjnych, którzy źle zrozumieli język polskiego muzyka spotkali się z oceną negatywną. Dla wszystkich tych artystów V Międzynarodowy Konkurs im. Fryderyka Chopina stanowi źródło wielkich doświadczeń. Tu spotkają oni prawdziwego Chopina, skonfrontują, porównają z innymi interpretacjami — własną sztukę odtwórczą, łatwiej odkryją swoją pomyłkę.

Drugi etap Konkursu charakteryzuje się od samego początku ogromną nerwowością i podnieceniem. Francuz Bernheim, przedstawiciel Chile — Oskar Gacitua, oraz nasz Andrzej Czajkowski chorują przekładając swoje występy na ostatni dzień Konkursu. Zwykle wesoła Tania Achot z Iranu gra słabiej opanowana zdenerwowaniem; trema nie pozwala grać na normalnym poziomie uroczej Fince Ritvie Arjavie. Nerwowość udziela się też publiczności. Słuchacze sali koncertowej Filharmonii zapominają, że istnieją pewne przyjęte przepisy bicia brawa, walą je między króciutkimi mazurkami zamiast dopiero po wykonaniu wszystkich trzech, albo co gorsze po każdej części sonaty. Zrozumiałe, że ten rodzaj dodawania otuchy nie jest potrzebny, gdyż jeżeli istnieje przychylna dla artysty atmosfera on ją i tak wyczuje, zaś oklaskiwanie w środku sonaty przeszkadza pianiście, Sądowi Konkursowemu, a warszawskiej publiczności wystawia świadectwo nienajlepsze.

Najciekawszą a zarazem najtrudniejszą próbę, jaką przejść muszą kandydaci w drugim etapie stanowią: obowiązkowe do wykonania preludium cis-moll oraz mazurki. W tych właśnie utworach daje się odczuć cała bogata natura Chopina, jego swoisty styl i nierozerwalna więź z polską pieśnią ludową. Wykonanie tych właśnie utworów będzie dla kandydatów V Konkursu najtrudniejszym w tym etapie egzaminem.

Konterfekt za szkłem

Długo zwlekałem z napisaniem tej recenzji. „Wymierzenie sprawiedliwości" nowej powieści Mieczysława Smolarskiego*) nie jest rzeczą tak łatwą, jakby się to mogło wydawać. Zamykając bowiem książkę niesposób oprzeć się uczuciu jakiegoś niedosytu rozczarowania.

Mieczysława Smolarskiego znamy z kilku ciekawych powieści dla młodzieży. Pasjonowaliśmy się w wieku chłopięcym przygodami „Poszukiwaczy złota" czy „Archiwariusza Gordona". Klimat tych powieści był zupełnie inny niż klimat „Światła nad księgami". Oczywiście, trudno czynić z tego powodu pisarzowi zarzut. Powieść biograficzna o młodości Mikołaja Kopernika wymaga użycia innych, bardziej złożonych środków pisarskich.

Przede wszystkim, aby uniknąć nieporozumień: książka nie jest — ściśle rzecz biorąc — powieścią. Jest lekko zbeletryzowaną kroniką młodości Mikołaja Kopernika. Jest „albumem", literackim „konterfektem", w którym znajdujemy szereg kameralnych obrazów z młodość: astronoma. Wchodzimy w dom toruńskiego patrycjusza, żeglujemy z flisakami tratwą po Wiśle odnajdujemy bohatera w szkole katedralnej we Włocławku, przeżywamy z nim lata gorącego zdobywania wiedzy na Wszechnicy Jagiellońskiej, smucimy się historią jego nieszczęśliwej miłości do Jagny, wędrujemy po słonecznych gościńcach Italii...

Książka ma dużą wartość jako suma wielu ciekawych wiadomości o czasach, w których żył młody Kopernik, oraz jako swego rodzaju „vade mecum" po dziejach jego młodości. Przypomina nam się — udatnie w tej książce zrealizowana — dewiza przedwojennego wydawnictwa „Roju": „Ucząc — bawić i bawiąc — uczyć". Książka będzie dla młodego czytelnika jednocześnie i rozrywką, i „lekcją" o najwybitniejszym naszym uczonym, jednym z najciekawszych ludzi tak bogatej w geniuszy epoki renesansu. „Światło nad księgami" można uznać za dobrze napisaną monografię. Beletryzacja dodała jej wiele uroku. Patrząc na książkę z tej strony, wybacza się autorowi jakiś niedowład pasji pisarskiej, oraz fakt, że nie dał nam (jak się tego spodziewaliśmy) powieści. Tak podchodząc do książki, widzimy, że dzielące nas od udanego „konterfektu" młodego Kopernika — „szkło" (o którym dalej) nie przeszkadza nam już w przyjmowaniu i uznawaniu jej wartości.

Książka Smolarskiego adresowana jest zasadniczo do starszej młodzieży. Winny się w niej znaleźć (zakładając, że autor pragnął napisać „prawdziwą" powieść) ostro zarysowane sytuacje, konflikty. Postaci książki — przede wszystkim postać głównego bohatera — winny być pogłębione psychologicznie. Młody czytelnik powinien nie tylko zaznajomić się z szeregiem faktów z życia młodego Kopernika oraz ze współczesnej mu rzeczywistości — ale zbliżyć się doń, zrozumieć jego wielkość, przejąć się szczerze, „od wewnątrz", jego drogą wiodącą od rodzicielskiej toruńskiej kamieniczki do spoglądającej ku gwiazdom wieżycy fromborskiego zamku. Materiału „faktograficznego" można znaleźć w biografii Kopernika aż nadto. Lata uniwersyteckie, pobyt we Włoszech — to znakomita okazja do wyczarowania pod piórem barwnych, soczystych, nabrzmiałych życiem obrazów. Powieściopisarzowi wolno przecież wzbogacić wątek o własne elementy fabularne, o własne widzenie przedstawionych w dziele osób, wydarzeń, tła. Jest to nawet jego obowiązkiem. Ogromną rolę w każdym utworze literackim — a sądzę, że w utworze przeznaczonym dla młodzieży w szczególności — odgrywa wyobraźnia. Słusznie powiedział Igor Newerly — na nie dawno zorganizowanym w Muzeum Narodowym wieczorze autorskim — że „bez wyobraźni nie ma prawdziwego dzieła sztuki". A w „Swietle nad księgami" wyobraźnia zawiodła autora.

Autor ustawił się wobec swego bohatera i wobec tego wszystkiego, co opisuje—jakoś „z boku". Nie angażuje się bezpośrednio, ale jest raczej obserwatorem, beznamiętnym kronikarzem i komentatorem. Razi nas ten dystans. Czytając książkę widzimy wszystko „na odległość". Przestrzeń pomiędzy nami a rozwijającym się przed naszymi oczami filmem wydarzeń nie jest wypełniona wzruszeniem. Spokojny, kronikarski, chłodny tok opowieści nie jest zdolny zbliżyć czytelnika do postaci młodego Kopernika. Trafnie określiła klimat tej książki recenzentka „Słowa Powszechnego" Kamilla Kleinówna mówiąc, że „w czasie lektury nie opuszcza czytelnika wrażenie, że na wszystko spogląda przez matową szybę".

Mimo wszystkich swych wad powieść Smolarskiego jest godna polecenia, jako pożyteczna i ciekawa na swój sposób lektura dla starszej młodzieży a nawet dorosłego czytelnika, interesującego się postacią wielkiego astronoma i humanisty.

*) Mieczysław Smolarski „Światło nad księgami" „Pax" — 1954.

Zbigniew Dolecki

WYSTĘPY JURORÓW Konkursu Chopinowskiego

Wielu miłośników muzyki narzekało niejednokrotnie na niedostateczną ilość interesujących imprez muzycznych w naszej stolicy. Obecnie jednak nawet najbardziej zapaleni bywalcy sal koncertowych otrzymali pełną satysfakcję. Na brak imprez muzycznych nikt już uskarżać się nie może, chyba tylko na trudności związane ze zdobywaniem biletów na owe imprezy. Dwa razy dziennie bowiem — rano i po południu — odbywają się przesłuchania kandydatów do V Międzynarodowego Konkursu im. Fryderyka Chopina.

Ponadto zaś prawie co dzień o godz. 20 odbywają się w sali Filharmonii Narodowej recitale lub koncerty symfoniczne z udziałem zagranicznych pianistów — członków Jury V Konkursu. Na piątkowym koncercie symfonicznym dn. 25 lutego wystąpił angielski pianista Ludwik Kentner, laureat II Międzynarodowego Konkursu im. Chopina. Grę jego cechuje wielka subtelność i romantyczny polot poparty mistrzowską techniką i precyzją, do jakiej młodsi bywalcy warszawskich sal koncertowych nie mieli jeszcze okazji się przyzwyczaić. Kentner wykonał z towarzyszeniem orkiestry Filharmonii Narodowej jeden z najpiękniejszych utworów Mozarta — Koncert fortepianowy c-moll wydobywając zeń całą głębię romantyzmu i napięcia emocjonalnego nie dostrzeganego przez ogromną większość wykonawców tego dzieła. Szczególnie zachwycił słuchaczy piękny, śpiewny, a zarazem po mozartowsku delikatny ton, jakim grał Kentner temat drugiej części koncertu. Na Zachodzie nie ma, jak się zdaje, zwyczaju bisowania po symfonicznych koncertach, niemniej Ludwik Kentner dał się nakłonić ku naszym obyczajom i dodał nad program Rondo z Sonaty A-dur Mozarta popularnie zwane Marszem tureckim, co publiczność przyjęła z entuzjazmem.

Niestety nie dopisała orkiestra, której brzmienie było zbyt grube, nierówne i często nieczyste. Zdarzały się również potknięcia rytmiczne tak, że w kilku momentach tylko niepospolita pewność i rutyna znakomitego solisty ratowała sytuację. Lepiej znacznie, choć również nie bez zastrzeżeń, wykonała nasza orkiestra rozpoczynającą koncert Uwerturę do opery „Wesele Figara". Drugą część koncertu wypełniła III Symfonia Bolesława Szabelskiego, którą omawialiśmy już przed paru tygodniami z okazji otwarcia Festiwalu Muzyki Polskiej.

W sobotę 26 lutego odbył się recital chilijskiej pianistki Flory Guerra. Spośród wykonanych przez nią dzieł najpiękniej wypadły utwory J. S. Bacha — Fantazja i Fuga a-moll oraz trzy preludia i fugi z cyklu „Das Wohltemperierte Klavier". Rzadko zdarza się słyszeć Bacha granego w sposób tak przejrzysty, z takim umiarem i prostotą, a zarazem żywo, bez cienia nużącej pedanterii. Te same znamienne gry Flory Guerra znalazły pełne zastosowanie w Impromptu B-dur Schuberta oraz w trzech utworach z cyklu „Le tombeau de Couperin" Maurycego Ravela, natomiast Sonata Waldsteinowska Beethovena wymaga, jak się zdaje, więcej blasku i wirtuozerii, dlatego też po jej wykonaniu pozostało wrażenie pewnego niedosytu. Oprócz wymienionych utworów Flora Guerra wykonała dwa nieznane zupełnie w Polsce utwory chilijskich kompozytorów, a mianowicie: „Dos doloras" Lenga i „Dos tonadas chilenas" kompozytora H. Allende.

SOLISTĄ niedzielnego koncertu symfonicznego był Włoch Arturo Benedetti Michelangeli. Ten młody, bo zaledwie 35-letni pianista jest dziś jednym z pierwszych artystów świata, toteż jego występ w sali Filharmonii był, jak się to mówi, „gwoździem sezonu". Gra Artura Michelangeli wywołała u niektórych słuchaczy nieomal wstrząs nerwowy — zwłaszcza u studentów szkół muzycznych, których artystyczne doświadczenia nie sięgają wstecz poza rok 1945, ewentualnie lata okupacji. Grę Michelangelego doprawdy trudno jest opisywać; właściwie trzeba by ją było określić jednym słowem: doskonałość. Przepiękny dźwięk, ogromna technika, a nade wszystko nieporównana kultura i głębia artystycznego przeżycia. Wszystkie środki techniczne są tu całkowicie oddane w służbę muzycznej treści. Ani na chwilę nie góruje w Michelangelim wirtuoz nad artystą-muzykiem. Michelangeli nie jest romantykiem, a przynajmniej nie jest typem artysty, którego przywykliśmy określać mianem romantyka, toteż koncert a-moll Schumanna w jego wykonaniu odbiegał daleko od tradycyjnych wzorów. Chociaż jednak ujęcie nie było par excellence romantyczne, raczej intelektualno - refleksyjne, to jednak było w nim — zwłaszcza w drugiej i trzeciej części — tyle subtelnego ciepła, ile go nie potrafi dać z siebie i niejeden „romantyczny" pianista. Trudno na tym miejscu omawiać szczegóły interpretacji, warto jednak wspomnieć o niezwykle oryginalnym traktowaniu kadencji w pierwszej części oraz o kończącym tę kadencję trylu, który zdawał się zamierać w nieskończoność, tak że słuchacze wstrzymali oddechy, aby nie utracić ani jednego dźwięku, a tryl drgał wciąż — już na samym pograniczu słyszalności, i wtedy dopiero „weszła" orkiestra.

Nadprogram Arturo Michelangeli wykonał Sonatę c-moll Domerico Scarlattiego. Jeżeli o wykonaniu Koncertu Schumanna mógłby ktoś próbować dyskutować, to tu nie było już miejsca nawet na dyskusję. Trzeba po prostu wstać i powtórzyć słowa Schumanna: „Panowie, kapelusze z głowy — geniusz idzie".

Na poniedziałkowym recitalu wystąpił Jakub Zak (ZSRR), laureat I nagrody na III Międzynarodowym Konkursie im. Chopina. Wykonał on imponujący, choć tylko z dwóch pozycji się składający program, jakiego od wielu lat nie słyszała Warszawa. Program ów wypełniły dwa najdłuższe i bez wątpienia najtrudniejsze, dlatego też bardzo rzadko nawet przez słynnych pianistów grywane, utwory Ludwika van Beethovena, a mianowicie 33 Wariacje na temat Walca Diabelli ego oraz Sonatę B-dur op. 106 „für das Hammerklavier". W grze Zaka uderza przede wszystkim kolosalna technika, siła i temperament (choć znając jego nagrania chopinowskie wiemy, na ile subtelności potrafi on się zdobyć). Jego Beethoven jest heroiczny, pełen pasji, może nawet momentami brutalny, co może nie odpowiadać niektórym miłośnikom muzyki Beethovena, niemniej zgodne jest z doniesieniami tradycji o tym, jak sam Beethoven grał swoje utwory. Imponująca jest u Zaka zwartość i logika artystycznej koncepcji — imponująca zwłaszcza w tak olbrzymich utworach. Monumentalność konstrukcji zachwiała się nieco tylko w wielkiej i karkołomnymi trudnościami najeżonej fudze z Sonaty B-dur — może na skutek ogromnego tempa, w którym już nie podobna wydobywać głosów i wyprowadzać tematów. Nikt nie przypuszczał, aby po wykonaniu takiego programu Zak mógł jeszcze bisować, niemniej wykonał on nadprogramowo Nokturn H-dur op. 62 Chopina dając młodym kandydatom do Konkursu wzór naprawdę pięknego wykonania oraz Preludium i fugę d-moll Szostakowicza.

Jerzy Wojciechowski

Pani w Żółtym Szaliku

Dnia 12.II br w sali Domu Książki i Prasy odbyło się spotkanie publiczności z art. malarzem Andrzejem Strumiłłą, autorem wystawionych tam rysunków z Chin. Spotkanie to połączone z dyskusją było dość udane. Zostawiło u uczestników wrażenie jakiegoś niedosytu. Zdawało się, że prawdziwa dyskusja zaczyna się dopiero rozpalać: że wreszcie trafiono na właściwą płaszczyznę rozmowy między zawodowymi plastykami a odbiorcami ich dzieł: że to teraz zrobiła się „swojska" atmosfera, w której każdy już nabrał odwagi do wypowiedzenia swoich — nawet niezbyt sprecyzowanych — myśli, wątpliwości, zastrzeżeń i zachwytów. I w takiej chwili trzeba było zebranie zakończyć. Robił to z widocznym żalem przewodniczący tego zgromadzenia prof. Michał Bylina. Bo dla kierującego taką dyskusją najradośniejszym objawem jest, kiedy zebranie zamienia się w wiec, kiedy oczy zaczynają błyszczeć z podniecenia a czupryny niemal kurzyć od nadmiaru rodzących się, lub dojrzewających w tym momencie myśli.

A zaczęło się od tego, że po zagajeniu prof. Byliny i krótkim wstępie Ignacego Witza informującego o dotychczasowej drodze artystycznej Strumiłły — zapadło kłopotliwe milczenie. Nie skutkowały zachęty przewodniczącego, ani bardzo ciekawa i bezpośrednia wypowiedź samego twórcy chińskich obrazków o swojej podróży. Padło parę pytań, dotyczących zresztą nie wystawionych dzieł, a ciekawostek z egzotycznego kraju. I znów cisza i wahanie się ludzkie: odezwać się, czy nie? Trzeba było dużego wyrobienia, taktu i inteligencji ze strony przewodniczącego, żeby rozjarzającym się iskierkom myśli i woli u zebranych nie dać zgasnąć i rozdmuchać je w huczące ognisko. Płomieniem, który pierwszy wyżej buchnął i który pod koniec najjaśniej zaświecił, była Pani w Żółtym Szaliku. Ona stała się po autorze demonstrowanych dzieł drugim bohaterem wieczoru. A dlaczego? Bo zdobyła się na wysiłek szczerego powiedzenia tego, co ją naprawdę nurtowało przy oglądaniu tej wystawy i innych podobnych pokazów. Dzięki temu ona stała się prawdziwą wyrazicielką i reprezentantką publiczności. Tak więc można było wyłowić w dyskusji jakby trzy grupy głosów:

„Głos ludu" — składający się z wypowiedzi Pani w Żółtym Szaliku, i Panienki w Sweterku Bordo, i dwóch Młodzieńców, i kilku Panów po Czterdziestce i innych. (Pomijam tu zgrzytliwe popisy pewnej damy, budzące, jak każde błazeństwo na pokaz, najpierw wesołość, a później wyraźny niesmak).

„Głos autora" — Andrzeja Strumiłły,

„Głos plastyków" — Trzech za stołem prezydialnym i jednego na sali (dla rozruszania dyskusji).

A streścić te „głosy" można tak:

Publiczność: Wprawdzie nie znamy się na tym, ale podobają nam się i pejzaże bardzo nastrojowe, i portrety Chińczyków. Portrety są wspaniałe. Aż trudno uwierzyć, że w szkicu szybkim i położonym na papier od razu tuszem, bez ołówka, „od pierwszego razu" można było zmieścić tyle głębi i prawdy psychologicznej. Ale wolelibyśmy, żeby mówiły one także i o zawodzie i życiu tych ludzi przez umieszczenie ich w odpowiednim otoczeniu i rekwizytach. Pejzaże są bardzo chińskie, nie tylko dlatego, że malowane w Chinach, ale emanuje z nich jakiś „duch" chiński. Na czym to polega? Niech nam powie autor. I niech nam powie, dlaczego malował tylko czarnym tuszem, a nie kolorowo. I dlaczego brak na obrazkach zwierząt — chyba trochę innych niż nasze, i dziwnych. A czy Chińczycy malują teraz podobnie do nas? Czy oni przeżyli też kubizm i futuryzm? A ci ludzie, których artysta malował, czy przeszli jakąś zmianę, jakieś przeobrażenie dzięki rewolucji? To chcielibyśmy wiedzieć. Ale pejzaże, gdzie widać słupy wysokiego napięcia są dla nas nudne, bo ten motyw jest w naszym malarstwie straszliwie ograny. Wolimy te dziwaczne góry, śmieszne laski, miasta, wąwozy i ruch dżonek na rzece. Choć niektóre rysunki są nieczytelne i mało jest takich, gdzie panuje słońce i pogoda (czy w Chinach tak jest stale?) — to autor dostać powinien jakąś nagrodę za te piękne prace.

A jeśli wy, artyści, pytacie, co nas najbardziej nurtuje, to wam powiemy: cóż z tego, że mi się nie podoba rzeka z chmurą, uznana przez plastyków za najlepszy obraz? Czy artysta może to brać pod uwagę? Nie, bo on lepiej wie, że to co dobrze zrobił — jest dobre. On się na tym zna. Toteż dla nas takie dyskusje jak ta są niepełne. Artysta powinien nas uczyć na tych dyskusjach, jak patrzeć na obraz i jak odczuć jego piękno. My byśmy chcieli i sami się nauczyć i wychować nasze dzieci w umiejętności odczuwania sztuki.

Autor: Chiny zobaczyłem po raz pierwszy z góry, z samolotu i od razu rzuciły mi się w oczy ich charakter. Widać na krajobrazie, że kształtowała go nie tylko przyroda, ale i tysiące lat trwająca mozolna praca ludzka. Na ziemi wytrzeszczałem oczy na wszystko i starałem się wszystko, co mnie zdumiewało — rysować, ale niewiele miałem na rysunek czasu, bo spełniałem tam wiele funkcji. I członka delegacji kulturalnej, i przedstawiciela swojej grupy zawodowej, i badacza metod pedagogiki artystycznej. Musiałem rozmawiać z mnóstwem ludzi i cały czas pamiętać, że reprezentuję Polskę. Pięć tygodni w ten sposób pracowałem, a jeden tydzień strawiłem na jazdę. Rysowanie w tych warunkach jest artystyczną notatką na gorąco. Dlatego nie mogłem sobie pozwolić na przemyślaną kompozycję w portretach, na znaczące gesty ręki, czy rekwizyty. Na „chiński charakter" rysunków wpłynęły 3 elementy: 1. Nowy dla mnie pejzaż i ludzie. 2. Chiński materiał rysunkowy (papier, tusz, pędzelki). 3. Sztuka chińska.

W Pekinie odbyła się wystawa moich prac. Publiczności chińskiej na ogół się one podobały. Szczególnie plastykom. Oni pejzaż swój malują nie tak, jak widzą, a konwencjonalnie, według starych tradycji. Tu zobaczyli, że można ich kraj malować inaczej. Natomiast moje rysunki nie podobały się chińskim politykom i działaczom kulturalnym. Oni woleli w nich zobaczyć odbicie przemian socjalistycznych. Jednakże to wygląda podobnie, jak u nas: rusztowania, traktory, słupy elektryfikacyjne. A ja wolałem malować to, co dla mnie nowe i niezwykle, inne niż u nas.

Malarstwo w Chinach uprawiane jest w dwóch kierunkach: 1. tzw. malarstwo chińskie, czyli tradycyjne, konwencjonalne, 2. tzw. malarstwo olejne, czyli wzorowane na europejskim akademickim malarstwie XIX wieku. Kubizm i futuryzm nie przyjęły się tam nigdy. Formalizmem w sztuce Chińczycy nazywają schematyzm myślenia artysty, a nie tak jak my — bawienie się formą. Jeżeli chodzi o to, dlaczego nie malowałem kolorami — to odpowiem, iż z tego powodu, że jestem malarzem i dlatego czuję odpowiedzialność za kolor, nie mogę malować pospiesznie.

Plastycy: My uważamy rysunki Strumiłły za bardzo dobre. To nie jest reportaż gazeciarski, lecz artystyczny o dużym ciężarze gatunkowym. Jedni z nas wolą nastrojowe pejzaże, ale większość zachwyca się wspaniałymi głowami. Podziwiamy też wysiłek artysty — 200 prac w 5 tygodni i to przy innych zajęciach!

Ale na tej dyskusji zdanie specjalistów nas nie interesuje. Ciekawi nas zdanie wasze, ludzi, dla których malujemy i na których nasza sztuka powinna działać. Celem dyskusji jest pobudzanie artystów do sztuki wam potrzebnej. Powiedzcie nas krytykować, mówić śmiało, co wam się podoba, a co nie, a naszym zadaniem jest przemyśleć, jak to naprawić. Naród ma taką kulturę, jakiej chce. Ale wy się boicie mówić tego co myślicie.

Narodowa forma, to nie jest przecież naśladowanie w kółko tego, co naród zaliczył do skarbca swojej kultury. Nie można mechanicznie uznawać za narodowe tylko tego, co jest podobne do Matejki, Gierymskiego, Wyczółkowskiego czy Wyspiańskiego. Słuszniej jest wychwytywać z bieżącego dorobku artystów coś zupełnie nowego. Jeśli forma bez precedensu wytrzyma próbę czasu, wychowując przynajmniej jedno pokolenie i naród będzie z niej dumny — na pewno będzie narodową formą artystyczną. Bo narodowe jest to, czym naród się szczyci. Dlatego rewelacyjna nauka Kopernika, nauka bez precedensu — należy do polskiej kultury.

Tyle mniej więcej powiedzieli plastycy. A Strumiłło od siebie dodał: W Chinach jest przysłowie: „Kiedy cały naród westchnie — będzie burza". Jeśli cały naród polski będzie chciał — to będzie sztuka.

I za to dostał brawa — drugie na tej sali.

Marek Kononowicz

Andrzej Strumiłło: Czao King-wen — robotnik zakładów metalurgicznych w Szykingszan.

LIST DO REDAKCJI I MOICH POLEMISTÓW

Nr 9 i 10 tygodnika „FILM" w dziale „Nasz obiektyw" zamieścił dwie noty, których tematem jest „polemika" z moim artykułem „Słowa gorzkie o twórczości filmowej" (Nr 47 „Dziś i Jutro" z 21.XI.54 r.) i recenzja z filmu „Witaj słoniu" (Nr 4 „Dziś i Jutro" z 30.I.55 r.).

Polemika jest ożywczym nurtem krytyki i w pełni uznaję tę tezę. Ale jeden warunek: że będzie ona prowadzona poważnie i uczciwie — by nie przypominała owej polemiki, którą porównywał Irzykowski do partii szachów, gdzie przeciwnik zgarnia figury a wyciąga majcher.

Ale przejdźmy do przedmiotu zasadniczego. Oto przykład pierwszy: Autor podpisany (płaż) wyciągnął z listopada ub. roku (!) mój artykuł, w którym krytycznie oceniłem polską twórczość filmową i wyrywając z tekstu kilka zdań (pomijam już to, że zmienia nie tylko kolejność tych zdań w jakich one wytępowały, ale i zmienia wewnętrzny szyk jednego z nich) i złośliwie próbuje udowodnić ich pozorną sprzeczność. Zdania są rzeczywiście tak sprytnie zestawione, że występuje ich merytoryczny kontrast i w pierwszej chwili uwierzyłem i ja w swoją pomyłkę. Sięgnąłem jednak do artykułu i z przerażeniem stwierdziłem, że (płaż) wyrywając z kontekstu owe zdania w sposób wygodny dla swego zwycięstwa polemicznego imputuje mi niewypowiedzianę myśli. Jaki cel może mieć ta „polemika"? O ile autorem powodowałaby istotna troska o czytelnika, którego rzekomo ja wprowadzam w błąd, to uczyniłby to jeszcze w ubiegłym roku, a nie prawie w cztery miesiące po ukazaniu się artykułu. Gdyby troska o film polskich twórców w których obronie (płaż) rzekomo staje — to owa nota miałaby charakteter rzeczowej merytorycznej polemiki z moimi tezami i przeciwstawiałaby im własne. A więc co? Pamiętam, że w ubiegłym roku tenże (płaż) na łamach „obiektywu" wytykał mi błędy w podaniu autorstwa filmu „Pepita Jimenez". Musiałem odpowiedzieć wyjaśnieniem, które redakcja „FILMU" opatrzyła takim komentarzem: „Odolański sięgnął do materiałów źródłowych, a (płaż) lekkomyślnie i ryzykując swój autorytet „znawcy" oparł się na polskiej czołówce filmu. W tych warunkach (płaż) — mówiąc językiem Wiecha — „leży jak neptek". Tyle „FILM" wówczas. Dlaczego dziś temu „znawcy" pozwala się z „majchrem w ręku" — — jak pisał Irzykowski — grasować na łamach „obiektywu" w celach, które nie mają nic wspólnego z uczciwą polemiką?

Przykład drugi: Autor podpisany (pel) ogromnie się oburza na moją recenzję z filmu „Witaj słoniu". Że nie mam Boga w sercu nazywając film ten „drugorzędnym" i że twierdzę, że nie należy on do „arcydzieł" neorealizmu, i że nie jest to recenzja w ogóle a streszczenie. Pod koniec kilka niewybrednych uwag pod adresem redakcji „Dziś i Jutro", że — co to za redakcja, która umieszcza takie opinie. Wprawdzie nota ta w przeciwieństwie do poprzedniej nie jest tak złośliwa, jak niezbyt mądra, ale i tu bezkrytyczne stanowisko redakcji „FILMU" zmusza do wyjaśnień.

Proszę wybaczyć, że powiem kilka truizmów: skoro takie filmy jak „Złodzieje rowerów", „Nadziei za dwa grosze", czy „Cud w Mediolanie" są filmami pierwszorzędnymi, to czy do tej samej kategorii mam zaliczyć „Witaj słoniu"? Chyba jest jakaś różna ranga ideowo-artystyczna tych dzieł. I redakcja „FILMU" o tym wie, jak przynajmniej można sądzić z recenzji omawianego filmu, zamieszczonej w tym tygodniku. Natomiast nie wiem, czy redakcja „FILMU" wie, że (pel) usiłuje złośliwie wmówić czytelnikowi, iż moja recenzja jest streszczeniem, choć o fabule filmu piszę tylko w sposób problemowy tylko dwa zdania, i że wszystkie tezy napaści ograniczają się do złośliwego cytowania wyrwanych z kontekstu moich opinii, i że w swoich sądach o tym filmie nie jestem bynajmniej odosobniony (proszę sprawdzić w historiach filmu Sadoula i u Lizzaniego), i że w sumie wystąpienia (pel) przypomina zachowanie słonia w składzie porcelany, czy jak kto woli polemiczną donkiszoterię.

To by było wszystko, na temat tych not. Natomiast co do sprawy rzetelności informacyj podawanych przez „FILM" (bowiem powyższe uwagi bynajmniej nie naruszają jej) chciałbym w ramach międzyredakcyjnej wymiany grzeczności zwrócić uwagę redaktorom „FILMU", że wbrew temu, co piszą oni w recenzji z „Witaj słoniu" osoba współpracująca przy scenariuszu: Suzo Cecchi D'Amico jest uroczą kobietą (patrz zdjęcie „Cinema Nuovo" nr 40 ub. roku). Ponadto na obronę indywidualności stylu reżyserskiego Franciolliniego nie warto wysuwać takich argumentów jak ten, że jest autorem dziesięciu filmów (bo są to z małym wyjątkiem bardzo mierne filmy), a jego pozycja, która ma najbardziej argumentować za indywidualnością twórcy („Reflektory we mgle") mimo swoich zalet pozostaje w reżyserskiej koncepcji pod wyraźnym wpływem filmów francuskich reżysera Marcel Carne (vide: VI tom historii Sadoula).

Andrzej Odolański

STEFAN J. KUROWSKI

INDIE — szóste mocarstwo?

POKOLENIU, które we wczesnej młodości rozczytywało się w barwnych powieściach Kiplinga, a później czerpało wiadomości z geografii w szkole międzywojennej, gdzie Indie nazywano „perłą korony brytyjskiej" — ciągle jeszcze trudno zdać sobie sprawę ze współczesnej treści politycznej i społecznej, która zawiera się w pojęciu — Republika Indyjska. Kształtując sobie obraz świata, obraz z natury rzeczy przede wszystkim polityczny, mimo woli chwytamy się na tym, że kształtujemy go na wielu jeszcze odcinkach według schematów aktualnych sprzed 15 laty. Nasza wyobraźnia polityczna pozostała w tyle w stosunku do rzeczywistości. Złożyło się na to wiele przyczyn, między innymi i to, że w okresie wojny i bezpośrednio po niej koncentrowaliśmy naszą uwagę przede wszystkim na zagadnieniach europejskich. A tymczasem i poza Europą dokonywały się wielkie zmiany. Jeszcze najlepiej uświadamiamy sobie przełomowe znaczenie rewolucji ludowo - demokratycznej w Chinach. Chińska Republika Ludowa zajęła już trwale należne jej miejsce w naszym obrazie świata. Ale stało się to przede wszystkim dlatego, że zmiana ta dotyczyła bezpośrednio naszego własnego obozu — obozu demokratycznego, co oczywiście znalazło odbicie w intensywnej kampanii informacyjnej; po drugie, Chiny ludowe wskutek aktualnej sytuacji międzynarodowej (wojny koreańska, wietnamska) zaczęły od razu prowadzić aktywną politykę — a siłę, jak wiadomo najlepiej poznaje się w działaniu.

Natomiast olbrzymie zmiany, poważne przesunięcia punktów ciężkości, które dokonywały się poza obozem socjalistycznym, kwitowaliśmy albo formalnym przyjęciem do wiadomości, lub też w ogóle uchodziły one naszej uwadze.

Najważniejsze z tych wydarzeń nastąpiło w 1947 roku. Wówczas kiedy w Chinach Czang Kai-szek okupował jeszcze większą część kraju, zachowując pozory siły, a losy chińskiej rewolucji ważyły się, sąsiednie Indie otrzymały statut dominialny dominium brytyjskiego. Część opinii światowej początkowo sceptycznie oceniła to wydarzenie, traktując je jako jeszcze jedno posunięcie imperializmu brytyjskiego, które nie zmieni zasadniczo układu sił w Azji południowo - wschodniej. Szybko jednak okazało się, że Indie przekreśliły obawy sceptyków. W ciągu dwu lat Indie na drodze uniezależnienia się przebyły etap, na który stare dominia brytyjskie — Kanada, Australia, potrzebowały lat kilkudziesięciu, a w 1950 roku rząd Unii Indyjskiej proklamował Republikę. W ten sposób ostatni związek z imperium — osoba króla — został zerwany. Wprawdzie do dnia dzisiejszego Indie pozostają formalnie członkiem Brytyjskiej Wspólnoty Narodów, ale z każdym rokiem, z każdym wydarzeniem politycznym, które angażuje z jednej strony Republikę, a z drugiej strony Metropolię, staje się jasne, że przynależność ta jest coraz bardziej formalna.

I mimo że burżuazji indyjskiej jest na rękę kontynuowanie związku z Imperium, gdyż obawia się ona stanąć sama wobec rozbudzonych już sił demokratycznych w Azji (w tym także wobec sił demokratycznych własnego kraju), to jednak pojawienie się nowego niezależnego państwa, suwerennej Republiki Indyjskiej stało się faktem dokonanym.

Rozwój wypadków, jakie potem nastąpiły, zmusza do stwierdzenia, że konsekwencje wkroczenia Indii na arenę międzynarodową wywołały powszechne zaskoczenie i wprowadziły zamieszanie do dotychczasowego obrazu świata. Z jednej strony zawiodły rachuby anglo - amerykańskie, że uda się nowe dominium utrzymać w roli posłusznego wykonawcy starej polityki kolonialnej. Z drugiej strony Indie, które uzyskały niepodległość na rosnącej fali walk narodowo-wyzwoleńczych krajów kolonialnych i zależnych, w ciągu kilku lat przerosły ramy tego ruchu i zatrzymały się (przynajmniej na razie) w połowie na drodze do ostatecznych konsekwencji tych walk tj. na drodze do rewolucji ludowo - demokratycznej. I mimo że kolonializm angielski już na samym wstępie usiłował osłabić Indie, wydzielając z niego ten niesłychanie sztuczny twór, jakim jest Pakistan — to obiektywna logika wydarzeń międzynarodowych zmusiła młodą burżuazyjną Republikę Indyjską do sięgnięcia po rangę mocarstwa światowego.

A więc Indie szóstym mocarstwem? Jakie są przesłanki tego mocarstwowego awansu nowego partnera dotychczasowej wielkiej piątki?

Ludność Republiki Indyjskiej liczy 370 milionów. Można by tutaj

fot. W. Kwiatkowski

stworzyć efektowne kombinacje statystyczne i powiedzieć, że jest to drugi co do liczebności naród świata, że liczba ludności Indii równa się liczbie ludności Europy bez Związku Radzieckiego itd. itd.

Wiemy jednak, że to nie oddaje istoty rzeczy. Szermowanie bowiem argumentem 400-milionowej ludności bez wniknięcia w istotną treść tej masy jest niczym innym jak fetyszyzmem statystycznym, który w polityce może tylko zaciemnić sytuację.

Rzecz w tym bowiem, jaka jest ludność Indii?

Pytaniem tym dotykamy setek problemów politycznych, gospodarczych, społecznych, kulturalnych i religijnych. Indie nie są narodem w takim znaczeniu, w jakim rozumiemy to pojęcie w Europie. Historyczna ewolucja, którą przeszły ludy półwyspu nie wytworzyła takiego narodu. Indie nie są również narodem w znaczeniu takim jakim są Chiny, gdzie wprawdzie mieszkaniec z Południa nie rozumie mieszkańca z Północy, ale wielowiekowe centralistyczne państwo i wspólne pismo gwarantowały poczucie wspólnoty narodowej. Z atrybutów narodu według klasycznej definicji Indiom brak wspólnego języka. Spośród ośmiu głównych języków używanych na półwyspie żaden nie zdobył sobie pozycji dominującej. Na tym tle zrozumiała jest rola, jaką w Indiach odgrywa język angielski. Po dwustu latach panowania angielskiego — po angielsku pisze i czyta w Indiach wprawdzie zaledwie 1 proc. ludności, ale jest to ten jeden procent, który czyta gazety, który administruje i zajmuje się polityką. Nic dziwnego zatem, że w szkołach średnich i wyższych językiem wykładowym jest język angielski, literatura wychodzi w języku angielskim, gazety drukowane są po angielsku (Times of India — organ rządzącej partii kongresu).

Jest to jednak powierzchnia życia społecznego, cienka warstewka kulturalna. Głębiej wpływ kultury angielskiej nie przeniknął. Te zadziwiająco nikłe wyniki dwóchsetletniej „misji cywilizacyjnej" brytyjskiej w porównaniu na przykład z trwałym podbojem kulturalnym realizowanym przez Rzymian, lub choćby w nowszych czasach głębokimi śladami kulturalnymi panowania hiszpańskiego w Ameryce Łacińskiej czy na Filipinach wskazują jaskrawo na niezwykle jednostronny, wyłącznie eksploatatorski charakter kolonializmu na półwyspie.

Obecnie jednak podział językowy spotęgowany jeszcze różnie przebiegającymi podziałami: kastowym, religijnym, szczepowym i administracyjnym (zachowanie feudalnych państewek maha dżów) niezwykle utrudnia wielomilionowym masom mieszkańców Republiki wytworzenie sobie wspólnej świadomości narodowej. Naród hinduski to jeszcze nie rzeczywistość. To dopiero możliwość. A realizacja tej możliwości jest pierwszym warunkiem utrwalenia się szóstego mocarstwa na pozycjach światowych.

Możliwość ta może zostać zrealizowana i przyspieszona dopiero w toku potężnej rewolucji przemysłowej. A Indie stoją dopiero u progu tego procesu. Nie sprawdziły się bowiem przewidywania Marksa z połowy XX wieku (i nie mogły się sprawdzić z powodu braku w tym czasie obiektywnych przesłanek), że koleje żelazne staną się w Indiach prawdziwym zwiastunem nowoczesnego przemysłu. Indie otrzymały najbardziej rozbudowaną w Azji sieć kolejową (bez porównania bardziej gęstą niż w Chinach) lecz „nowoczesny przemysł" w skali odpowiadającej krajowi w ciągu stu lat nie został zbudowany. Jest jasne dlaczego tak się stało. Sieć kolejowa była potrzebna Anglikom do utrzymywania ich panowania, więc ją budowano, natomiast rozwój rodzimego przemysłu zagroziłby zbytowi angielskich towarów, więc był sztucznie hamowany. W wyniku takiej polityki kolonizatorów w końcowym okresie panowania angielskiego Indie przedstawiały niezwykły obraz degeneracji sił wytwórczych. Hamowana rewolucja przemysłowa jednym skrzydłem dotknęła Indie, i jakkolwiek nie potrafiła stworzyć wielkiego przemysłu, to jednak zdołała zniszczyć feudalne formy produkcji rzemieślniczej skazując miliony rękodzielników na nędzę. Toteż pod koniec panowania angielskiego liczba robotników przemysłowych wynosiła zaledwie 4% ludności. Natomiast odsetek zatrudnionych w rolnictwie przekraczający 70% stale wzrastał(!). Ta podstawowa jednak dziedzina produkcji wskutek zacofania technicznego dawała coraz mniejszy dochód rosnącej ludności. W wyniku tego udziałem podstawowej masy ludności Indii była nędza. Tylko w Chinach przedrewolucyjnych i kolonialnych krajach Azji południowo - wschodniej notowano niższy poziom życia.

A z jakim potencjałem produkcyjnym startuje Republika w przemyśle? Na wielką skalę rozbudowany jest jedynie przemysł tekstylny. Natomiast podstawa gospodarki narodowej — przemysł ciężki, znajduje się dopiero w początkowym rozwoju. Ludność Indii liczy więcej milionów niż ludność Luksemburga tysięcy, lecz produkcja stali w Indiach jest prawie dwa razy mniejsza niż w Luksemburgu. Węgla wydobywają Indie mniej niż Polska przedwojenna, a energii elektrycznej wytwarzają mniej niż Polska w 1948 roku.

Wszystko to ma miejsce przy jednoczesnym istnieniu na półwyspie najbogatszych na świecie zasobów rudy żelaznej oraz wielkich zasobów węgla i energii wodnej. Ostatnie badania stwierdziły także olbrzymie zasoby surowców atomowych.

Uruchomienie tych potężnych, drzemiących bogactw — zbudowanie wielkiego przemysłu—oto druga przesłanka realizacji możliwości szóstego mocarstwa.

Aktualnie wydaje się, że w Indiach pod dostatkiem znajduje się tylko jedna forma energii — ludzie. Odnowiciele teorii Malthusa wskazują w tym miejscu na Indie, jako na klasyczną ilustrację słuszności tez swego mistrza o dysproporcji między przyrostem ludności a przyrostem środków wyżywienia. Indie, wołają, to wielka rzeka żywej materii, której żaden system gospodarczy nie zdoła wyżywić.

A tymczasem jak jest naprawdę? Naprawdę od wielu dziesiątków lat przyrost naturalny Indii przekracza nieznacznie 1% rocznie, a więc jest niższy niż w większości krajów Europy. Czyż taki przyrost ludności może być pokryty przyrostem produkcji? Oczywiście, że może być. W krajach socjalistycznych 10-procentowy roczny przyrost produkcji jest zjawiskiem normalnym. Ale

fot. W. Kwiatkowski

nawet w samych Indiach, gdy usunięte zostały główne zahamowania w rozwoju gospodarczym kraju, notuje się w ostatnich latach przyrost produkcji w wysokości 4%. O co więc chodzi? Neomaltuzjanistami nie kieruje troska o wyżywienie ludności Indii, lecz przeraża ich perspektywa zachwiania demograficznej równowagi świata. Ludność półwyspu wzrasta wprawdzie o 12‰ rocznie, ale stanowi to 5 milionów ludzi! W ciągu roku przyrost ludności Indii wynosi więcej niż cała ludność Szwajcarii, w ciągu dwu lat więcej niż cała ludność Australii, a w ciągu 10 lat więcej niż cała ludność Brytanii szumnie nazwanej kiedyś Wielką! Ulegając takiemu fetyszyzmowi statystycznemu neomaltuzjaniści trabią na alarm.

Mimo stabilizacji od wielu lat przyrostu naturalnego, w dziedzinie demograficznej w Indiach zaszły w ostatnich latach zasadnicze zmiany, które wskazują na niezwykle głębokie przeobrażenia społeczne i kulturalne. Od 1938 roku do 1952 roku wskaźnik zgonów na 1.000 mieszkańców spadł z 23,7 na 13,8! Jest to olbrzymie osiągnięcie w walce człowieka ze śmiercią, dokonane przede wszystkim dzięki postępowi wiedzy medycznej, wzrostowi higieny, zastosowaniu masowych szczepień i zwalczeniu epidemii. Miarę tych osiągnięć daje następujące porównanie: w Indiach uważanych przed wojną za kraj o jednej z najwyższych śmiertelności na świecie, w 1952 roku ilość zgonów na 1.000 mieszkańców była nieznacznie wyższa niż we Francji (12,3) i Anglii (11,4)!

Ale na tym nie kończą się zdumiewające przeobrażenia demograficzne na półwyspie. Ostatecznie spadek śmiertelności, jaki nastąpił w ostatnich latach w Indiach jest częścią ogólnego procesu: na całym świecie nastąpił w okresie powojennym spadek śmiertelności o mniej więcej 10 punktów (oczywiście nie przypadkowo, lecz dzięki świadomym wysiłkom ludzkości). Natomiast inne zjawisko — spadek liczby urodzin ogranicza się wyłącznie do Indii. Urodzenia spadły z 33,7 na tysiąc w 1937 r. do 26,7 w 1953 r. O ile przyczyny spadku śmiertelności leżą w świadomych wysiłkach medycyny i higieny, o tyle przyczyn spadku urodzeń należy szukać znacznie głębiej: w zmianach obyczajów ludności. Dlatego wydaje się, że zjawisko to jest sygnałem początku głębokich przeobrażeń psychiki i obyczajowości mas hinduskich.

A psychika ta jest dziwna, tajemnicza, dla Europejczyka nawet niezrozumiała z powodu swych irracjonalnych akcentów. W żadnym kraju nie utrzymują się tak masowo osobliwe zwyczaje, które w sposób zasadniczy zniekształcają życie gospodarcze jak w Indiach. Np. Indie posiadają największą na świecie ilość bydła rogatego (około 160 milionów sztuk czyli 2 razy więcej niż USA). Ale niewielki jest z tego bydła pożytek, gdyż w Indiach panuje kult krowy: bydła nie wolno zabijać ani jeść. Olbrzymia nieproduktywna masa zwierząt powiększa oczywiście nędzę wsi hinduskiej. W jakimś innym kraju na świecie byłyby możliwe dziwne akcje Ghandiego organizowane pod metafizycznym hasłem „nieuciekania się do siły". Masy hinduskie taką ideologię jednak przez wiele lat popierały I teraz również, gdy nabrzmiał problem reformy rolnej ze wszystkimi konsekwencjami ostrej walki klasowej — rzucono hasło... „dobrowolnego oddawania ziemi".

Naprawdę dziwna jest psychika mas hinduskich, kwietystyczna psychika innej cywilizacji, nie przystosowana do większego wydatkowania energii w epoce gigantycznych przeobrażeń jakie czekają kraj. Toteż zmiana tej psychiki na psychikę cywilizacji przemysłowej, włączenie tej wielkiej, kilkusetmilionowej „rzeki żywej materii" do procesu produkcji jest trzecim warunkiem realizacji szóstego mocarstwa.

Patrzymy na „hinduską część świata" z oddalenia i nie zawsze dostrzegamy, że działają tam różne siły polityczne i społeczne: od grup faszystowsko-nacjonalistycznych do partii komunistycznej. Kto zwycięży w tej walce o dusze 400 milionów?

Szóste mocarstwo stoi dopiero na progu swojej historii.

Stefan J. Kurowski

Ma pan rację Mr Thornton

„Jak donosi liberalny Manchester Guardian..." Nie, proszę państwa; to już muzyka przeszłości. Od dziesięciu lat wspomniane pismo — jedno z czterech najpoważniejszych w Wielkiej Brytanii — przestało być liberalne nawet w skrzywionym, burżuazyjnym sensie tego słowa. Od dziesięciu lat „Manchester Guardian" przoduje w atakach na Związek Radziecki i obóz pokoju. Komentarze jego są ostre, napastliwe i wojownicze. Spokojny ton półoficjalnego organu Foreign Office, „Times'a" sprawia, że wydaje się on przy „Guardianie" niemal... lewicujący.

A jednak ten nieprzejednanie reakcyjny dziennik musiał ugiąć się przed oczywistymi faktami. W swojej tygodniowej edycji „Manchester Guardian Weekly" z 30 grudnia ub. roku zamieszcza reportaż Ernesta Thorntona, posła do parlamentu, z jego podróży po Chinach. Stosunek zarówno redakcji, jak i autora do Nowych Chin nie może budzić żadnych wątpliwości. Tym bardziej więc — przeczytajmy.

*

Wzbijając tumany kurzu, pędzimy po równej jak stół drodze z pekińskiego lotniska w luksusowych samochodach rosyjskich. Przedmieścia, rozłożone poza murami miasta, rozbudowały się szeroko. Wpadamy w zatłoczone ulice Pekinu; pierwsze wrażenia — mniej motocykli, więcej autobusów, riksze wyłącznie rowerowe. To oznaka przywrócenia godności ludzkiej. Dalej rowery — ani Oksford, ani Amsterdam nie ma ich tyle!

Niezliczona ilość sklepów prywatnych jest nadal otwarta. Zaopatrzone są dobrze, ale kupujących niewiele. Konkurencja zakładów spółdzielczych i państwowych staje się niewątpliwie coraz poważniejsza. Nie widzi się już kontrastów nędzy i luksusu. Wszyscy ubrani są mniej więcej podobnie, przeważnie w różne odcienie niebieskiego. Ceny ustabilizowane. I to, wydaje mi się, jest między innymi podstawą wysokiego morale narodu. Osiem lat temu Chiny znajdowały się w początkowym stadium galopującej inflacji. Widać było chaos nie tylko na ulicach Pekinu, Szanghaju, Kantonu i innych miast, ale w całym przemyśle, handlu i administracji. Nawet interesy brytyjskie były tym zarażone i dobijane. Powszechnie uznawano i przyjmowano za naturalną ogólną korupcję; przekupstwa nie omijały żadnego stopnia władzy czy służby publicznej. Czuło się wszędzie brak stabilizacji politycznej. Wszystkie fabryki były obstawione uzbrojonymi żołnierzami.

W tej atmosferze i w tych warunkach osiem lat temu produkcja zupełnie zamierała. To prawda, że rząd Kuomintangu miał ambitne plany i szkice rozbudowy sieci kolejowej, systemów irygacyjnych i przeciwpowodziowych, stacji elektrycznych itp. Ale nikt nie brał ich poważnie. Nigdy też nie wyszły poza biura projektowe. Obietnice rozdawano szczodrze, nie wypełniano natomiast wcale. Ludzie stawali się coraz bardziej sceptyczni.

Najbardziej też uderzającą różnicą pomiędzy nowym i starym ustrojem jest wypełnianie zapowiedzi i planów. Jak mogłem zaobserwować, wiele projektów z czasów Kuomintangu zostało szybko zrealizowanych. Na przykład 505-kilometrowa linia kolejowa od Czungkingu do Czen-tu — marzenie od lat czterdziestu — stała się rzeczywistością. Przejechałem ją całą. Tłumy ciągle jeszcze zbierają się, aby oglądać przejeżdżające pociągi:

Klasyczny taniec chiński

pierwsza kolej, którą widzą te dwa wielkie miasta! (Czungking — 1.600 tys. mieszkańców, Czeng-tu — 750 tys.). Wielka duma odbija się na twarzach. Zaledwie dwa lata budowy! Prawie zupełnie zniszczony system kolejowy Chin został całkowicie odbudowany. Pociągi idą we wszystkich kierunkach. I co ciekawsze — punktualnie.

Największe może wrażenie dokonanych zmian pozostawia po sobie Mandżuria. Kraj ten był pospiesznie rozbudowywany w latach trzydziestych przez Japończyków — w tempie, które można przyrównać do szybkości industrializacji w Stanach Zjednoczonych lub Związku Radzieckim. Ale w chwili kapitulacji Japonii fabryki były kompletnie rozbite. Szczególnie dotkliwie ucierpiały wielkie huty i stalownie w Anszan, pod Mukdenem. Kiedy ostatni raz odwiedzałem Anszan — było to w roku 1946 — zastałem zgliszcza, nie rokujące żadnych nadziei. Dzisiaj fabryka została z pomocą rosyjskich ekspertów i techników prawie całkowicie odbudowana, a produkcja jej — w większości — przekroczyła najwyższy poziom wytwórczości z okresu okupacji japońskiej. Co więcej, zaledwie w ciągu roku Rosjanie zbudowali i urządzili trzy olbrzymie nowe fabryki. Obraz całej południowej Mandżurii — to odbudowa i nowe budynki przemysłowe.

W jednym z wschodnich przedmieść Pekinu zwiedzałem ukończoną właśnie przędzalnię bawełny. Budowa trwała zaledwie 14 miesięcy. Wiemy, że w latach powojennych rozwinął się przemysł w Niemczech Zachodnich i Japonii; ale nawet w tym porównaniu rozmach chiński jest uderzający.

W 1946 roku brytyjska misja handlowa w Chinach wskazywała, że wzrost uprzemysłowienia tego kraju i powiększenie produkcji rolnej i surowcowej są koniecznymi warunkami zdrowej ekspansji chińskiego handlu zagranicznego. Warunek ten został nadspodziewanie szeroko spełniony. A jednak wydaje się, że straciliśmy okazję. W tej chwili 75 proc. handlu chińskiego stanowi wymianę ze Związkiem Radzieckim i zaprzyjaźnionymi krajami. Produkcja osiągnęła niebywały poziom. Ten proces odbudowy i rozwoju — jeden z najbardziej zadziwiających, jaki oglądał świat — toczył się w warunkach surowego embargo, nakładanego przez Zachód; toczył się bez udziału kapitału amerykańskiego, angielskiego czy niemieckiego. Czyż nie jest to fakt o szczególnej wymowie u progu drugiej połowy dwudziestego wieku? Jestem głęboko przekonany, że ten właśnie udany wysiłek Chin w kierunku industrializacji, dokonany w obliczu wrogości Zachodu, będzie miał o wiele poważniejsze reperkusje polityczne w całej Azji, niż jakakolwiek propaganda.

*

Ma pan rację, Mr. Thornton. Na pewno większe, niż jakakolwiek propaganda czy „pomoc" Stanów Zjednoczonych.

J. S.